

WŁADYSŁAW ŚWIĘCH

ŚWIADEK AKCJI CELESTYNÓW

Celestynów 2023

Wydawca: Stowarzyszenie Kultury Mazowsza
Opracowanie redakcyjne: Andrzej Kamiński
Korekta: Grzegorz Muczke
Skład i łamanie: Damian Kamiński
deelephant@gmail.com
Druk: Drukarnia GREG
Zdjęcia okładka: Ryszard Bielawski
Sfinansowano z budżetu Gminy Celestynów

Słowo wstępne redaktora

Opowieść kolejarza Władysława Święcha trafiła do Redakcji Celestynki na e-maila. Przesłała ją córka, Teresa Tykarska w roku 2020. Uznałem opowieść za doskonały dokument obrazujący dzieje Stacji Celestynów i jej pracowników w okresie okupacji hitlerowskiej, a też samej Akcji Odbicia Więźniów politycznych wieszonych do Oświęcimia w maju 1943 roku. Z wydaniem wspomnień wstrzymałem się jednak do roku 2023, czyli 80 rocznicy tej bohaterskiej akcji kedywu Armii Krajowej i jej uroczystych obchodów.

Andrzej Kamiński

CODZIENNE OKUPACYJNE ŻYCIE W CELESTYNOWIE

Zgłosiłem się do niemieckiego zawiadowcy stacji Celestynów. W rozmowie powiedziałem, że mam tu rodzinę, która mi pomoże materialnie, bo z mojej pensji nie mogę utrzymać czteroosobowej rodziny. Zawiadowca stacji Celestynów chętnie zgodził się, ponieważ znając język niemiecki zastąpię mu tłumacza „volksdojcz” Glińskiego, bo jak mówił, „volksdojcz”, to ni Polak ni Niemiec, a on woli pracować z Polakiem. Glińskiego zatrudnił na stanowisku zwrotnicowego, a mnie na stanowisku kasjera biletowego. Około 15 kwietnia 1940 roku otrzymałem w Małkini dekret przeniesienia do Celestynowa. Odjeżdżając prosiłem kolegów kolejarzy, aby, gdy przyjedzie Konieczny nie zdradzili mu miejsca mego wyjazdu.

Po przybyciu do Celestynowa zaraz przy pierwszej okazji powiadomiłem AK w Warszawie przez kuriera Rybaka (dyżurny stacji Wawer), aby zajęli się osobą pana Koniecznego. W pierwszych dniach lipca tegoż roku w tajnej naszej gazecie AK przeczytałem: „Dnia 7 lipca na klatce schodowej domu Żłota 27 w Warszawie został zastrzelony Edward Konieczny za zdradę Polskiego Narodu”. Mieszkanie w Celestynowie otrzymałem w budynku stacyjnym na pierwszym piętrze od strony Otwocka (dwa pokoje z kuchnią). Personel niemiecki, to byli: zawiadowca stacji, trzech dyżurnych ruchu oraz robotnik. Polacy: ja, Czesław Cholewiński i Aleksy Naumczyk.

Zatrudnieni byliśmy w kasie biletowej. Na posterunkach zwrotniczych - też Polacy. Pierwszy dyżur pełniłem z dyżurnym ruchu Maksem Ehrentraut. Był to już starszy wiekiem Niemiec, drezdeńczyk, lat około 60. Człowiek o wyjątkowo dobrym i spokojnym charakterze. Ponieważ ja tu świeżo zamieszkały nie miałem węgla, pozwolił mi zaopatrzyć się w piwnicy budynku stacji. Sam stał na warcie, aby któryś z Niemców nie zauważył, a ja dwoma wiadrami przeniosłem do swojej piwnicy około 50 kg węgla. Gdy za jego dobroć zaprosiłem go na wigilię Bożego Narodzenia do mego mieszkania, przyniósł dla dzieci czekoladę, a dla mnie wino, papierosy i w rozmowie z nami powiedział, że Niemcy tej wojny nie wygrają, bo są za bardzo butni i brutalni. Latem 1940 roku, gdy miałem z nim dyżur nocny, gdzieś nad ranem przyszli do biura dyżurnego ruchu nasi chłopcy z lasu - akowcy w pełnym uzbrojeniu, wracający z akcji. Było ich pięciu, mieszkańców Celestynowa. Przynieśli ze sobą wódkę i zakąskę. Maks z nami popijał, bo znał ich wszystkich, ale powiedział: „Maks wszystko widzi, ale halt die schnauce (stul pysk)”. Wieczorem jego koledzy nie wychodzili poza stację, a Maks chodził spokojnie, bo wiedział, że go nikt nie ruszy. Stacja Celestynów zawsze była pełna pasażerów jadących w lubelskie po żywność. Warszawa miała pewien limit sprzedaży biletów, więc ludzie jechali do Otwocka, potem szli pieszo 12 km do Celestynowa, skąd już nie było ograniczeń w sprzedaży biletów kolejowych. Bilety kartonowe w kierunku Lublina już w kilka dni zostały wyczerpane, więc pisało się bilety blankietowe. Aby wszystkim starczyło, wpisywałem po parę osób na jednym

bilecie, jadących do jednej stacji. Często w czasie dyżuru trzeba było napisać ponad sto takich biletów, aby wszystkich pasażerów obsłużyć (bo niemieccy rewizorzy sypali bardzo wysokie kary dla jadących bez biletu pasażerów), a ci za to przy kupnie biletów w formie podziękii pozostawiali moim kasjerom jakieś końcówki. W powrotnej drodze do Warszawy Niemcy nie raz robili na pasażerów zasadzki albo w Dęblinie, Garwolinie czy Otwocku, albo w Warszawie i zbierali zakupiony towar. Ja miałem z pasażerami umówiony sygnał. Przed przyjsciem pociągu dzwoniłem do Otwocka, gdzie byli też koledzy Polacy, pytając o pogodę. Kolega odpowiadał stosownie do sytuacji. Jeżeli Niemcy na stacji w Otwocku już byli, to odpowiadał mi „leje deszcz”, a gdy ich nie było, odpowiadał „pogoda”. Po wejściu pociągu oczy pasażerów były na mnie zwrócone. Jeżeli byłem uśmiechnięty, to pogoda - wolny Otwock, ale gdy zdjąłem czerwoną czapkę i drapałem się po głowie - to burza. Wtedy wszyscy pasażerowie z towarem wysiadali w Celestynowie, a Niemcy w Otwocku wściekali się, bo nie mieli co zabierać. Po wejściu pociągu do Celestynowa jeden z pasażerów przychodził do kasy i kupował bilet do Otwocka, który kosztował 1 zł 40 gr, a dawał zawsze więcej „za telefon”. Podczas jednego dyżuru, gdy byli jeszcze niemieccy kolejarze, zasadzkę na pasażerów zrobili w Celestynowie. Miałem wtedy dyżur na szczęście z Maksem. Żandarmi niemieccy zabierali gotowe paczki z żywnością pasażerom i przynosili do biura dyżurnego ruchu, a Maks podkradał je im i ja w kasie uratowałem osiem paczek. Poszedłem na peron i powiedziałem jednemu z pasażerów, że mamy u

siebie osiem paczek. Niech ogłoszą tajnie, gdy Niemcy odjadą, będą mogli, poznavszy swoje paczki, odebrać. Każdy z tych ośmiu właścicieli paczek jednaką część oddał Maksowi, a ten solidarnie podzielił się ze mną. W kwietniu 1942 kolejarzy Niemców zabrali dalej na wschód. Pozostaliśmy sami - Polacy. Ja np. jako dyżurny ruchu, telegrafista i kasjer w jednej osobie. Na stanowisko zawiadowcy stacji zgłosił się pan Brzeziński. Przed ich zabranieniem na kilka dni wcześniej inspektor niemiecki z Otwocka zrobił egzamin z pracy na aparacie telegraficznym dla dyżurnych Niemców. Widziałem jak się pocili przy tym egzaminie. Te kropki i kreski wystukiwane przez nich zlewały się w całość, a ja stałem z boku, przyglądając się ich pracy. Gdy pociąg towarowy przeszedł stację, poprosiłem inspektora, że ja nadam telegram. Wywołałem Zabieźki jednym aparatem, a Otwock drugim i pracując jednocześnie na dwóch aparatach podałem telegram: „Zug 986 ab m 35 Celestynów Krauze” (pociąg 986 przeszedł 12 m Celestynów Krauze). Inspektor oraz dyżurni ruchu - Niemcy byli bardzo zdziwieni, jak można jednocześnie pracować na dwóch aparatach, a ja właśnie chciałem pokazać, jak my Polacy znamy dobrze telegraf. Inspektor mnie spytał, gdzie nauczyłem się tak pracować. Odrzekłem, że 12 lat byłem dyżurnym ruchu, a jednocześnie telegrafistą. Potem w kasie biletowej podliczyłem stan kasy. Podliczając poszczególne relacje biletów na liczydłach zobaczyłem, że inspektor stał z boku i przyglądał się mojej pracy, aby się przekonał, czy to dobra metoda liczenia. Napisał mi parę liczb, abym je podsumował. Zaraz to zrobiłem, czekając na niego, bo on to zrobił pamięciowo,

a potem porównał swoje obliczenia z moimi i powiedział: „Haben Sie recht, alles ordnung” (ma pan rację, wszystko jest w porządku, zgadza się). Kupcy z Karczewa sprowadzali z lubelskiego wagonami mąkę. Na liście przewozowym było napisane „torf”. Takich wagonów przeszło kilka do Celestynowa. Z każdego wagonu kupcy dali dwa worki po 50 kg mąki. Jeden dla Niemców, drugi dla nas - Polaków. Ale po pewnym czasie ktoś oskarżył Karczewiaków. Zostali aresztowani. Groziło to i mnie, ale obronił mnie zawiadowca tłumacząc, że ja pracuję tylko w kasie biletowej i z wagonami nie mam nic wspólnego. Zawiadowca za karę pojechał na front. Bardzo dobrze, że został zabrany, bo w stosunku do nas pracowników kolei zachowywał się dość poprawnie. Natomiast brutalnie odnosił się do pasażerów kolei i ludności. Pewnego razu, gdy spotkał na peronie chłopca w wieku około 12 lat, który sprzedawał papierosy, zbił go niemiłosiernie kopiąc leżącego nogami, na co dyżurny ruchu Maks powiedział do mnie, że on na to nie może patrzeć, bo go serce boli. Na miejsce wysłanego na front zawiadowcy stacji Sondermanna przybył Dehmut. Ten był bardzo towarzyski, lubił grać w karty. Ja nauczyłem go grać w tysiąca, a on się cieszył, że poznał tę grę. Szef Dehmut był nałogowym pijakiem. Bardzo rzadko był trzeźwy. Po pijanemu ganiał swoich podwładnych dyżurnych Niemców Maksa i Krauzego, a gdy któregoś dopadł po prostu bił go po twarzy jak małego chłopaka. Gdy po takim zdarzeniu spytałem Maksa, dlaczego tak pozwolił bić się po twarzy, powiedziałem, że gdyby tak mnie polski zawiadowca uderzył, to bym mu oddał, Maks na to powiedział, że szef jest

partyjny i jego uderzyć nie wolno. Podczas jednej z takich awantur wpadł do mnie do kasy szukając Niemców wołając: „Wo ist Krauze und Maks” (gdzie jest Krauze i Maks). Odpowiedziałem, że nie wiem, a on w złości uderzył mnie po ramieniu. Gdy na drugi dzień po tym incydencie szef był trzeźwy powiedziałem mu, co było wczoraj, że do tej pory bił tylko swoich Niemców, a teraz i mnie uderzył, na co odrzekł: „Das ist unmö glich” (to nie możliwe), teraz ty mnie możesz uderzyć. Z prawdziwą przyjemnością bym to zrobił, ale się bałem, że może oddać. Pewnego razu będąc kompletnie pijany, z karabinem w ręku począł ganiać swoich dyżurnych. Maks uciekł do ogrodu, a Krauze, który miał ze mną służbę zamknął się w betonowym schronie, który był w pomieszczeniu dyżurnego ruchu. Na stacji stał akurat „Urlaub Zug” (pociąg urlopowy). Szef nie mogąc znaleźć dyżurnych na dole poszedł na piętro budynku stacyjnego i otworzywszy okno - rozpoczął ostre strzelanie. Co się działo na stacji trudno opisać. Powstał niesamowity popłoch w wagonach z żołnierzami jadącymi na urlop. Widząc, że do mnie do kasy idą żołnierze z bronią, wyciągnąłem Krauzego ze schronu, niech z nimi rozmawia - to ich sprawa. Gdy ten im wyjaśnił, kto strzela, żołnierze wpadli na górę i rozbroili bohatera. Szef Dehmur za swoje wybryki został za karę przeniesiony do Hamburga, skąd po dwóch miesiącach przyszła wiadomość, że zginął podczas bombardowania tego portowego miasta. Z wiosną 1942 roku Niemcy przekazali nam swoje czynności i pojechali na wschód. Zawiadowcą został Brzeziński Edmund, a dyżurnym ruchu ja, Naumczyk i Cholewiński. Teraz dla nas Polaków nastały

trochę lepsze czasy. Pewnego razu, gdy pojechałem do magazynu mundurowego na dworcu Warszawa Główna, aby pobrał dla pracowników stacji Celestynów należne ubrania i obuwie, poznałem tam pracującego kolegę Polańskiego. Ten mi powiedział, abym do niego przyszedł podczas przerwy obiadowej między 12.00 a 14.00. Gdy przyszedłem, zaproponował mi kupno skóry na zelówki do butów. Umówiliśmy się, że każdego razu mam przyjechać z walizką i miał przygotowane zapotrzebowanie ze stemplem stacji. Stojąc w kolejce pomiędzy kolejarzami niemieckimi oddawałem pismo i walizkę. On podczas przerwy ładował do walizki 10 kg skóry, a ja po przerwie znów stojąc w kolejce odbierałem walizkę, podpisując pokwitowanie. Pieniądze należne za skórę odnosiłem do żony Polańskiego na ul. Miedzianą 12. W ten sposób niemiecka skóra szła na polski rynek, gdzie braki były ogromne. Miałem znajomych szweców w Celestynowie i Kołbieli, którzy kupowali ode mnie każdą ilość skóry. Oprócz tego kupowałem na wsi skóry surowe z krów, koni, cieląt, kóz i woziłem do tajnej garbarni w Warszawie na ul. Stalową 30. Taka surowa skóra kosztowała około 100 zł. Za wyprawienie jej płaciło się też około 100 zł, a wartość jej była około 400 do 500 zł. Takie transakcje trwały aż do końca okupacji. W tej pracy pomagał mi mój najstarszy syn. 20 września 1940 roku, jeszcze gdy mieszkalem na stacji, urodziła mi się córka Teresa (powinna być kolejarzem, ale przeznaczenie było inne. Została biologiem). 22 września 1942 roku urodziła się druga córka - Maria (ta ukończyła farmację w Warszawie). W listopadzie 1941 roku zamieniłem się na mieszkanie z Naumczykiem,

ponieważ jego żona prowadziła na stacji bufet kolejowy. Ja mieszkałem w osobnym domku kolejowym blisko stacji. W końcu stycznia 1944 roku znalazłem się w szpitalu Przemienienia Pańskiego w Warszawie. Na skutek przedźwignięcia dwóch baniek z naftą dostałem przepukliny prawej pachwiny. Po tę naftę z polecenia zawiadowcy niemieckiego należało raz w miesiącu jechać do parowozowni Warszawa Wschodnia. Operowany byłem przez dr Kamińskiego, który wykonał od razu podwójną operację - przepuklina i wyrostek robaczkowy - bez narkozy. W czasie mego pobytu w szpitalu przywieziono dwóch rannych młodych mężczyzn, uczestników akcji udanego zamachu na kata Warszawy Kutscherę, która miała miejsce 1 lutego 1944 roku. Przy łóżkach rannych była cały czas warta policjanta granatowego. Codziennie odwiedzały tych rannych młode dziewczęta. Po tygodniu, gdy stan chorych poprawił się, przyjechało samochodem kilku akowców. Przerwali łączność telefoniczną i rannych zabrali. Policjant, który chciał akcji przeszkodzić, dostał lanie i zabrali mu broń. Zaraz przyjechało gestapo na dochodzenie, ale chorzy tłumaczyli się jak mogli. Nikt nic nie widział. Po kilku dniach znów przywieziono rannego z jakiejś akcji, przy którym też był policjant. Odwiedzała go matka, a gdy po paru dniach ranny czuł się nieco lepiej, matka przyniosła ubranie do ubikacji, której jeden z chorych pilnował, aby była wolna. Ranny poprosił policjanta o pójście do ubikacji. Ten poszedł z nim i stał przy drzwiach, a chłopak ranny przebrał się i po zamknięciu drzwi okienkiem wyskoczył na podwórze. Było to na parterze. Ucieczka udała się.

„MUSSOLINI”

Na stacji Pilawa urzędował Bahnschutz niemiecki, którego my Polacy potocznie nazywaliśmy “Mussolini”. Był to volksdeutsch, urodzony w Polsce gdzieś na Śląsku, który po polsku mówił lepiej niż po niemiecku. Bardzo nie lubił Polaków. Pewnego dnia powiadomił mnie telefonicznie dyżurny ruchu stacji Pilawa Antoni Kilim, że w naszym kierunku pociągiem towarowym pojechał Mussolini z psem wilczurem oraz polskim sokistą do pomocy. Poszedłem zaraz na poczekalnię stacji, nie uciekli, gdy ich ostrzegąłem. Mussolini pyta mnie, czy ich znam i co oni robią. Odpowiedziałem, że znam ich z widzenia, a oni pracują chyba w lesie, bo codziennie ich widzę idących z piłą i siekierą do lasu. Na te słowa Mussolini mi pogroził i powiedział groźnie: „ty dobrze wiesz, co oni robią”, a pies rzucił się na mnie. Ostrzegłem Mussoliniego, że jestem na służbie i ma uspokoić psa, bo inaczej zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Zatrzymani tłumaczyli się, że czekają na swoje żony, które przyjadą z Warszawy. Gdy tenże pociąg przybył, a żony nie przyjechały, wściekły Mussolini znów zaczął ich bić, a pies mu pomagał gryzieniem. Mnie polecił, abym zatrzymał pociąg towarowy, bo on zatrzymanych bierze do Pilawy. Po wejściu pociągu Mussolini przykazał mi, abym nie podawał semaforu na odjazd, aż on i zatrzymani dojdą do brankardu. Gdy wyszli w ciemną noc, wpadło do mnie do biura czterech uzbrojonych akowców, pytając gdzie są zatrzymani.

Odpowiedziałem im, że poszli do pociągu i ostrzegłem, że w ciemności ich nie odbiją, a mogą tylko zaszkodzić. Mogli to zrobić, gdy Mussolini był w biurze. Mimo mego ostrzeżenia zaczęli strzelać. Ja poleciłem nastawniczemu podać semafor na wolną drogę. Sądziłem, że przy ruszaniu pociągu uda się zatrzymanym zbiec. Niestety, gdy pociąg ruszył, Mussolini z zatrzymanymi nie doszedł jeszcze do brankardu, więc polecił im wejść do budki hamulcowej. Podczas wchodzenia jeden z zatrzymanych uderzył Niemca, a ten z pistoletu zastrzelił obydwu. Podczas przejścia pociągu przez posterunek Chrosna, Mussolini krzyknął do dyżurnego ruchu Szczakowskiego, aby w Pilawie na stacji czekała karetka pogotowia. Po przybyciu do Pilawy zadzwonił do mnie dyżurny ruchu Kilim, mówiąc, że z tego pociągu wynieśli dwóch zabitych i położyli na wózku bagażowym. Powiadomiłem o tym niefortunnych obrońców. Przez ich głupotę straciło życie dwóch młodych ludzi. Mussolini niedługo cieszył się swoją władzą, bo w Otwocku na ulicy Kościelnej dopadli go akowcy i zastrzelili razem z psem. Będąc w Warszawie, pewnego razu szedłem ul. Biełańską prawą stroną od ul. Długiej do Placu Teatralnego. W tymże kierunku szli też przede mną młody mężczyzna z walizką oraz niewiasta z teczką. Widać było, że nie były lekkie. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szło dwóch młodych mężczyzn z rękami w kieszeniach. Stwierdziłem, że to jest przenoszenie broni z obstawą. Gdy minęli ulicę Tłumacką, od strony placu Teatralnego z ulicy Senatorskiej wyszło dwóch "blacharzy" w naszym kierunku z automatami gotowymi do strzału. Zwolniłem nieco kroku tak, że

odległość między mną a idącymi z przodu z bronią była około 10 m i zatrzymałem się przy jakiejś wystawie, aby z bliska obserwować spotkanie z żandarmami. I rzeczywiście oni przy spotkaniu zawołali „halt”. Mężczyzna i niewiasta spokojnie postawili na chodniku swoje bagaże, a jednocześnie vis a vis po drugiej stronie jezdni zatrzymali się panowie z rękoma w kieszeniach płaszczy. Jeden z żandarmów pyta: „Washaben Sie in dieser kofer?” (co ma pan w tej walizce). Odpowiedź bardzo spokojna - pistolety. Niemcy zdumieni spojrzeli po sobie i jeszcze raz pytają: „Was haben Sie?”. Odpowiedź taka sama - pistolety. Drugie zapytanie skierowane do niewiasty: „Fraulein, was hast du in diese tasche?” (panienko, co ty masz w tej teczce). Ona spokojnie odpowiada: „Hand granaten” (ręczne granaty). Niemcy wyraźnie zakłopotani jeszcze raz spojrzeli po sobie, a potem, gdy zauważyli po drugiej stronie ulicy stojących dwóch, rzekli: „Gehen Sie bitte ruhig weiter” (idźcie sobie proszę spokojnie dalej). Na takie zezwolenie oboje zatrzymani spokojnie wzięli swoje bagaże idąc dalej w kierunku Placu Teatralnego, a obstawa odprowadziła Niemców aż do ulicy Długiej. Incydent ten obserwowało kilkanaście przechodzących osób. Szczęściem, że w tym czasie nie było w pobliżu innych Niemców. Innym razem jechałem tramwajem nr 4 z Dworca Wschodniego. Na ulicy Zygmuntowskiej przed Mostem Kierbedzia (obecnie Most Śląsko-Dąbrowski) do przepełnionego pomostu wsiadł oficer niemiecki. Młode ładne Warszawianki zaraz zaczęły go kokietować, a łasy szkop zaczął z nimi flirtować, zapominając, że ma w kaburze pistolet, który mu w sztucznym tłoku nasi chłopcy

obcieli. Po udanej akcji na zakręcie przy Kolumnie Zygmunta kilka osób wyskoczyło, ja również. Ciekawe, jak się czuł ten oficer, gdy zauważył brak pistoletu. Takie udane akcje mające na celu zdobycie broni często się powtarzały.



OSTRE STRZELANIE

Pewnego razu, gdy po nocnym dyżurze przyszedłem do domu i położyłem się spać, przebudziło mnie strzelanie. Podczas okupacji to nie było żadną nowością, ale zainteresowało mnie to, że bardzo blisko. Odsunąłem zasłonkę w kuchni i z przerażeniem zobaczyłem, że to na moim podwórku czterech chłopców. Moi synowie Wiesiek i Kazik oraz synowie kolejarzy Witaka i Hajduka zrobili sobie ćwiczenia. Na piwnicy nalepione było koło z papieru, a oni z odległości paru metrów, z pozycji klęczącej prują kolejno do tarczy. Szybko się ubrałem i zaszedłem ich od tyłu. Zabrałem karabinek, a bo haterom kazałem na kolanach przysięgać, że niczego nie widzieli, tłumacząc im, że ta sprawa groziła bezpośrednio mnie. Szczęście, że mój domek kolejowy był dookoła obity deskami około 2 m wysokości. Na strychu mego domku przechowywałem za kominem pod deską i liśćmi swoją akowską broń, a że chłopcy też taką mieli, ja o tym nie wiedziałem. Od czasu do czasu zdarzało się, że chłopcy mieszkający w Celestynowie obrabiali niemieckie wagony. Jednego razu otworzyli wagon z mundurami niemieckimi, a mnie powiadomili, że kilka mundurów wrzucili też na moje podwórko. Gdy zobaczyłem, była tego cała kopa, równa z parkanem. Posłałem zaraz mego najstarszego syna do mego szwagra ze wsi Skorupy, aby przyjechał wozem i zabrał to wszystko na wieś, by ludzie to wzięli. Po przefarbowaniu i przeróbce mundurów można było się ubrać.

ODBICIE WIĘŹNIÓW

19 maja 1943 roku pełniłem dzienny dyżur. W godzinach popołudniowych zgłosił się do mnie wywiadowca centralnej AK z Warszawy z powiadomieniem, że przyjechał, aby zapoznać się z terenem stacji Celestynów w związku z planowanym tej nocy odbiciem 40 więźniów wiezionych z Majdanka do Oświęcimia. Zaznaczył, że nasze Celestynowskie AK udziału w tej akcji brać nie będzie. Razem z nim obszedłem park, wskazałem piwnice obsypane ziemią, grubsze drzewa jako dobre zasłony dla akowców. Ponadto obiecałem, że zatrzymam cały pociąg z piaskiem (około 50 wagonów), który był ładowany na platformy z góry w Celestynowie, a przewożony do sypania budowy toru Warszawa Rozrządowa. Przekazując dyżur o godz. 20.00. O koledze, dyżurnego ruchu Naumczyka powiadomiłem o tej akcji, aby przez zaskoczenie nie popełnił jakiegoś głupstwa. Oczekiwany pociąg z Lublina do Warszawy miał być wg rozkładu o 23.00. Przed godziną planowanego przybycia pociągu przychodzi wysłany akowiec z pytaniem kiedy pociąg przybędzie. Opóźnienie było około 40 minut. Kiedy już miał pociąg wejść na stację, zgaszono palącą się na peronie naftową lampę. Wygaszono również oświetlenie w biurze dyżurnego ruchu. W kompletnej ciemności pociąg już po północy wjechał na stację. Dyżurny ruchu zgodnie z przepisami wyszedł na peron na spotkanie pociągu, ale na peronie poczuł na plecach dotknięcie lufy automatu i cichy głos: „rączki do góry, marsz do swego biura”.

Po chwili w takiej samej postawie wyprowadzono robotnika stacyjnego Berko. Obydwaj z dyżurnym ruchu musieli położyć się na podłodze. Z poczekalni przyprowadzono jeszcze emeryta kolejowego Wasążnika: „A ty dziadku siedź sobie spokojnie przy piecu”. Cisza. W drzwiach stoi z autorem żołnierz AK pilnujący, aby nic się nie stało. Poszczególne żołnierze na upatrzonych stanowiskach. Do wagonu bagażowego weszło dwóch uzbrojonych, pytając - czy Polacy? Rozdawca bagażowy był Polakiem, a kierownik pociągu Niemiec. Polak od razu położył się, a Niemiec chciał złapać za broń, ale dostał w łeb. Broń mu zabrano i jak baranek też musiał się cicho położyć. Teraz parowóz. Z obu stron wchodzi żołnierze, pytają - czy Polacy? Tak. Maszynista i pomocnik byli Polakami. Otrzymali polecenie zachowania spokoju, a dla pewności został na parowozie pilnujący żołnierz. Leżący na podłodze dyżurny ruchu Naumczyk usłyszał wołanie telegrafu stacji Pogorzelska. Spytał stojącego w drzwiach żołnierza, czy może się zgłosić do aparatu, bo stacja Pogorzelska chce nadać przejazd pociągu. Na to żołnierz odrzekł: „ja też jestem kolejarzem, znam pracę telegrafisty, sam odbiorę”. Gdy odebrał telegram, Naumczyk zasugerował, że należy pociąg przepuścić. Na to żołnierz: „po cholere? Niech stoi pod semaforem. Tu by tylko przeszkadzał”. Miał rację, bo to był pociąg z wojskiem, który podjechał pod semafor i zaczął gwizdać, upominając się o wolną drogę. Z wagonów środkowych stojącego pociągu „Nur für Deutsche” zaczynają odzywać się głosy: „Was ist los, warum wir stehen so lange?” (co się stało, dlaczego tak długo stoimy), ale żaden z bohaterów nie

odważył się wyjść z wagonu. Na stacji w dalszym ciągu trwa absolutna cisza, tylko od czasu do czasu słychać gwizdanie parowozu pociągu z wojskiem, stojącego pod semaforem, upominającego się o wolną drogę. Żołnierze AK rozwiązali już trzy zasadnicze problemy. To znaczy unieruchomili personel stacji, maszynistów na parowozie oraz kierownika pociągu. Teraz musi odbyć się zasadnicza akcja: dostał się do wagonu więźniarki idącej na końcu pociągu. Kilku żołnierzy otoczyło wagon, oczekując sposobnej chwili, aby dostał się do środka. Niedługo czekali, bo jeden konwojent, który niebacznie wyszedł z wagonu, leżał już zakrwawiony na peronie, ale trzech zabarykadowali się w środku. Dwa granaty wrzucone przez okienko do przedziału gestapowców zakończyły definitywnie sprawę. Jednocześnie rozległo się kilka strzałów z wagonów "Nur für Deutsche", ale serie z pistoletów maszynowych szybko uspokoiły pasażerów tych wagonów. Przez rozwalone drzwi więźniarki wybiegło na wolność 49 więźniów, którym dane było polecenie, aby uciekali w stronę stacji, gdzie oczekują na nich trzy ciężarowe samochody. W każdym samochodzie byli przebrani w mundury niemieckie akowcy władający językiem niemieckim, aby mogli pozorować konwojentów. Samochody te po załadowaniu przejeżdżały obok stojącego pod semaforem pociągu z wojskiem w odległości dosłownie 10 m. Dwóch uciekających więźniów zmyliło kierunek i uciekło do lasu. Jeden znalazł się we wsi Skorupy (3 kilometry), a drugi w Sępochowie (5 km odległości). Dostali cywilne ubrania od ludności. Podczas obopólnej strzelaniny żołnierze AK głośno wołali do pasażerów jadących

pociągiem, aby nigdzie nie uciekali, a raczej chowali się pod wagonem, bo oni tylko strzelają po wagonach niemieckich. Niestety, jadący tym pociągiem Toporowski, mieszkaniec Kołbieli, zlekceważył to ostrzeżenie, a jechał z synem, którego wykupił z Majdanka. Uważał, że właśnie w wagonach niemieckich będzie bezpieczny. Gdy otworzył drzwi wagonu, Niemcy, myśląc, że to partyzant, zastrzelili mu syna, którego wiózł do domu. Podczas strzelaniny cały czas byłem ze swoją rodziną w domu, w odległości 10 metrów. W pewnym momencie dwie kulki z automatu niemieckiego świsnęły w pokoju, pół metra nad łóżkiem, gdzie spali moi synowie. Oczywiście, zerwałem ich zaraz z łóżka i położyłem wszystkich na podłodze za kaflowym piecem, z drugiej strony. Cała akcja odbicia więźniów w Celestynowie trwała około 40 minut. Po jej zakończeniu włożyłem czerwoną czapkę dyżurnego ruchu, aby zmienić zszokowanego dyżurnego ruchu Naumczyka, a po wtóre ja, znając język niemiecki, prędzej dam sobie w tej sytuacji radę. Uciekał nie było sensu, bo byłbym całkowicie spalony. Gdy przyszedłem do biura, zastałem już chodzącego normalnie Naumczyka, któremu akowcy przykazali przed odjazdem ze stacji, że jeszcze pół godziny ma leżeć na podłodze. Najgorzej był wystraszony zawiadowca Brzeziński i ucieszył się, że przyszedłem, bo on sam przez cały czas okupacji uczył się języka niemieckiego, ale nigdy go nie mógł dobrze opanować. W trudnych sytuacjach ja zawsze byłem potrzebny jako tłumacz. Aparaty telefoniczne zastałem całkowicie zniszczone, tak że po stojący pod semaforem pociąg wojskowy posłałem pracownika z rozkazem szczególnym,

pozwalającym na wjazd na stację przy zamkniętym semaforze. Po wejściu pociągu towarowego wyprawiłem ten nieszczęsny pociąg osobowy z wrakiem więźniarki na końcu pociągu. Niemcy w pociągu zachowywali się bardzo spokojnie, bojąc się poruszać po terenie ciemnego peronu. Obydwa pociągi, towarowy do stacji Zabieźki i osobowy do Otwocka wyprawiłem na skutek braku łączności na podstawie specjalnego druku, pisząc, że stacja Celestynów wyprawia pociąg nr 932 i oczekuje pociągu z Otwocka. Około godz. 3.00 przyjechali do Celestynowa instruktor z Otwocka oraz żandarmeria, ale żadnych represji nie czyniła. Były tylko spokojne pytania. Łączność telefoniczna i telegraficzna została przywrócona dopiero w godzinach popołudniowych, po całkowitej wymianie aparatów. Żadnych represji ani aresztowań w związku z tą akcją w Celestynowie nie było. Niemcy prawdopodobnie mieli bardzo dobry wywiad, jaka to organizacja brała w tym udział i skąd przyjechali.



Ekipa stacji Celestynów jeszcze z Niemcami.
Podpis - na odwrocie.

(9)

Residencium 1942 N.

Nas mlpku ul lewy strany

- 1) Wladislaw dyplomata
- 2) Dekretant wot N.
- 3) Koberich mlpku wot N.
- 4) Ehrenreich mlpku
- 5) Pecher elektrant wot N.
- 6) Lauer wot N.
- 7) Zivlech. W. d. N.
- 8) Kucias wot N.
- 9) Kucias wot N.
- 10) Kucias wot N.

R. Ehrenreich

MELDUNEK BRZEZIŃSKIEGO

Pewnego dnia w sierpniu 1943 roku wyszedłem na peron, aby dać sygnał na odjazd pociągu osobowego do Lublina. Po jego odejściu z toru 3 odchodził w stronę Warszawy pociąg towarowy, do którego zaczęli wskakiwać młodzi mężczyźni. Podczas okupacji takie obrazki były bardzo częste. Po prostu wskakiwali, aby wyrzucił coś z towarów niemieckich. Wróciłem do biura i aparatem telegraficznym nadaję odejście pociągu. W czasie mej pracy wpadł z peronu Brzeziński do telefonu, a gdy w Otwocku dyżurny ruchu Leziak na jego żądanie połączył go z inspektorem niemieckim, usłyszałem meldunek Brzezińskiego: „Nach Zug springen acht banditen” (do pociągu wskoczyło ośmiu bandytów). Nie zdążyłem mu w tym meldunku przeszkodzić, tylko mu zwróciłem uwagę, jakie mogą być konsekwencje jego meldunku, a on mi odpowiedział, że to było moim obowiązkiem. Na skutek nie trzeba było długo czekać, bo po wejściu do Otwocka dwóch młodych ludzi zostało zabitych. Gdy o tym Brzezińskiemu powiedziałem, zatrwożył się, ale w niedługim czasie z jego oskarżenia został zabity młody chłopak Witak z Celestynowa za kradzież węgla z wagonu.

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH 1943 ROKU

Na ten dzień poprosiłem mego szwagra, aby przyjechał rano furmanką i zawiózł moją rodzinę na grób mych rodziców, brata i siostry, do Kołbieli. Miał przyjechać na godzinę 9.00, ale zamiast przyjazdu furmanki zauważyłem jeżdżące po Celestynowie niemieckie motocykle wojskowe oraz prowadzonego w kierunku stacji kolejarza Zawadę. Domyśliłem się, że zanoszą jakąś łapankę. Bojąc się, aby mnie to nie spotkało, ubrałem się, włożyłem na głowę czerwoną czapkę i udałem się na stację. Tu czułem się bezpieczniejszy jak w domu, bo Niemcy, trzeba im przyznać, służbę kolejową szanowali. Chyba, że ktoś był oskarżony. To już trudno. Wówczas wyjątków nie było. Na podjeździe stacji stały trzy ciężarowe samochody niemieckie, a pod ścianą budynku stacyjnego grupa Polaków zatrzymanych, otoczonych żołnierzami. Wśród nich poznałem zaraz stojącego mego szwagra, który do mnie jechał, a przy płocie stał jego koń z wozem. Mnie, idącego w mundurze i czerwonej czapce na głowie Niemcy spokojnie przepuścili. Dałem tylko znak ręką szwagrowi, że go widziałem, a postaram się go zwolnić. Jak zwykle w wypadkach przyjąłem dyżur, mimo że byłem po nocnej służbie. Po peronie spacerował sobie spokojnie niemiecki oficer. Podeszedłem do niego i przeprasząc zapytałem, czy jest zorientowany, na co się zanoszą, bo jestem niespokojny o swego brata, który też zatrzymany stoi pod ścianą. Na to oficer od razu odpowiedział, że jest lekarzem, a z pochodzenia Austriakiem i dodał, że

tu, w Celestynowie, żadnego rozstrzelania nie będzie, tylko oni mają listę, kogo chcą wyłapać, a wszyscy inni zostaną zwolnieni. Oficer na moją prośbę udał się ze mną na podjazd, a gdy wskazałem mego szwagra, kazał żołnierzom go zwolnić. Ja oczywiście podziękowałem oficerowi, a do szwagra powiedziałem: „Józek, konia batem i do domu”. W grupie zatrzymanych pod budynkiem byli też synowie Papisa Stanisława, zwrotniczego stacji Celestynów oraz syn Maciosa Jana, robotnika stacyjnego. Tych dwóch na moją oraz ojców prośbę też udało się zwolnić. Wywieziono wtedy z tej łapanki, o ile pamiętam, około 14 osób i myślę, że to była akcja odwetowa ze strony niemieckiej za odbicie 49 więźniów 20 maja tegoż roku w Celestynowie. Po paru dniach dwaj wywiezieni: Derecki i Mundzio wrócili do Celestynowa. Udało im się uciec, ale przez swoją głupotę zginęli w opisywanej przeze mnie akcji „Mussolini”.

WYROK NA BRZEZIŃSKIEGO

W końcowych dniach listopada 1943 roku dyżur na stacji miał Czesław Cholewiński. W późnych godzinach wieczornych przyszli do biura dyżurnego ruchu uzbrojeni akowcy żądając, aby ich zaprowadził do mieszkania zawiadowcy stacji Brzezińskiego. Gdy weszli do mieszkania, zastali tam nauczyciela Michała Rękasa, który Brzezińskiemu dawał lekcję języka niemieckiego oraz syna zawiadowcy, Edwarda. Akowcy dali polecenie: „Brzeziński ręce do góry”. Gdy to uczynili, odczytali mu wyrok śmierci: za wagon z cukrem i swetrami, które sprzedał, za zabitych Polaków z jego oskarżenia, jednego z Celestynowa i dwóch z Otwocka. Brzeziński wystraszony tłumaczył się i zapierał, a jednocześnie oznajmił, że on jest dowódcą AL, co było nieprawdą.

WŁASOWIEC

Z wiosną 1944 r. do ochrony linii kolejowej przeznaczeni byli żołnierze z niechlubnej armii Własowa. Pewnego dnia zauważyłem jak pijany własowiec przyczepił się na peronie do kierownika szkoły w Celestynowie, Lewandowskiego. Na peronie stacyjnym było dużo pasażerów oczekujących na przyjazd pociągu do Warszawy. Ja, stojąc w drzwiach swego biura, widziałem, jak własowiec bił po twarzy swoją ofiarę. Chcąc go wyrwać, dałem znak, aby Lewandowski uciekał do mnie do biura, a gdy mu się to udało, zamknąłem drzwi na klucz. Własowiec w złości dobył bagnetu i zaczął taranować zamknięte drzwi chcąc dostać się do biura, a ja wspólnie z Lewandowskim trzymaliśmy drzwi. Zwrotniczy sygnalizuje mi telefonem wejście na stację pociągu osobowego, ja muszę wyjść na peron. Wziąłem do ręki tzw. lizaka i przechodzę obok stojącego własowca z bagnetem. Ostrzegłem go, że nie ma prawa mnie ruszyć, bo jestem na służbie. Zauważyłem, że za plecami własowca ustawili się nasi chłopcy: Witak, Papis i Macios, a więc mam osłonę. Spokojnie mogłem dać sygnał na odjazd pociągu. Gdy wróciłem do biura, aby telegraficznie dać znać przybycie pociągu do Pogorzeli i odjazdu do Zabiezek, wlaźł też do biura własowiec, ale za nim weszli też chłopcy. Gdy skończyłem telegrafowanie, on z okrzykiem „Job twoju mać!” i z bagnetem w rękę rzucił się na mnie, ale jeden z chłopców wyrwał mu z łapy bagnet, a ja w złości dałem mu w pysk i pijaka kopniakiem wyrzuciłem na peron.

Bohater pozbawiony broni chodził po peronie i przeklinał po rosyjsku. Ja zameldowałem do jego władzy w Jankówce, aby zabrali pijanego żołnierza, który nie daje mi spokoju i nie mogę pracować. Nadmieniał, że zabrałem mu bagnet, którym chciał mnie uderzyć. O tym, że mu dałem w mordę i wyrzuciłem na peron, nie wspomniałem. Za chwilę przyjechali motocyklem podoficerowie niemieccy z żołnierzem. Oddałem im bagnet i wskazałem pijanego, którego załadowali do kosza i odjechali. Nareszcie nastał spokój. Po południu, ok. godz. 18.00 tenże własowiec, teraz już trzeźwy, w towarzystwie drugiego, obaj z karabinami, znów przyszedli na stację. Nim weszli do mojego biura, wpadłem do pomieszczenia kasy biletowej. Tam zdjąłem z głowy czerwoną czapkę i mundur i spokojnie sobie liczę na liczydłach. Nasz bohater wszedł z towarzystwem do biura i pyta, gdzie jest naczelnik „postancji”. Na co ja spokojnie wyszedłem z kasy i powiedziałem, że dyżurny ruchu przed południem miał jakąś drakę z żołnierzami i obawiając się ich powrotu, wyjechał. Na to własowiec odrzekł: „No, sukinsyn, gdyby on tu był, tak ja by jego zastrzelił”. Szczęściem, że mnie nie poznał, bo teraz mogłoby być niebezpiecznie. Musiałem po raz drugi telefonicznie prosić, żeby go zabrali. Po tej awanturze został chyba przeniesiony, bo go więcej nie widziałem. To byli Sowieci w niemieckich mundurach, a słyszałem, jak jeden mówił: „Mundur, czapka, sapogi i broń - niemiecka, ale głowa - to sowiecka”.

OSTATNI DYŻUR W CELESTYNOWIE

Z 26 na 27 lipca 1944 r. była moja ostatnia służba w Ostbahn. Czytając nasze podziemne gazetki wiedziałem, że jest już wolny Chełm, Lublin i front szybko zbliża się do Warszawy. Niemcy w pośpiechu ściągają tabor kolejowy ze wschodu. Tego dnia pojechałem takim kombinowanym pociągiem do Warszawy, aby kupić jeszcze skóry z magazynu, ale był już zamknięty. Kupiłem, ale już po droższej cenie, jak w magazynie. Parę kilogramów skóry za Żelazną Bramą, a z garbarni na ulicy Stalowej odebrałem trzy wyprawione skórki cielęce. Z Dworca Wschodniego żaden pociąg w kierunku Otwocka już nie kursował. Udałem się do mostu Kierbedzia, skąd kursuje wąskotorowa kolejka do Karczewa, którą przyjechałem do Otwocka. Niemcy pozostawili sobie tylko tor w kierunku Warszawy. Tor lewy całkowicie zdewastowali. Wszystkie zwrotnice i rozjazdy wraz z kawałkami szyn wyrwane, a podkłady na szlaku porwane pługiem - rakiem. Z Otwocka do Celestynowa 12 km przeszedłem pieszo. Po odpoczynku o godz. 20.00 poszedłem na stację na nocny dyżur. Pociągi już nie kursują. Brak łączności w kierunku Warszawy, ale w kierunku Dęblińska - łączność normalna. Na stacji pusto i cicho. Nie ma pociągów, to i brak pasażerów. Jestem tylko ja i robotnik Macios. Siedzimy tak na ławce obserwując ogromną łunę od strony Warszawy. Nad lasem sowieckie kukuruźniki zrzucają spadochroniarzy. Około godz. 23.00 telefon. Dzwoni z Pilawy kolega Henryk Wiktorzak pytając:

„Władek, co u ciebie słycać?” Odpowiadam, że u mnie kompletna cisza, bo „ani ruski, ani pruski”. A w Pilawie, mówi kolega, czołgi polskie i sowieckie jadą na Wisłę. Już od godz. 20.00 jestem w Polsce. Po północy kazałem Maciosowi iść do domu, bo ja sam nie mam co robić. Wychodząc z domu wziąłem koc i jesionkę. Zrobiłem sobie posłanie na stole. Zastłoniłem okno firanką. Zamknąłem drzwi na klucz i położyłem się spać. Około godz. 5.00 usłyszałem wjazd pociągu na stację. Odsłoniłem zasłonkę i zobaczyłem stojący pociąg pancerny. Szybko zerwałem się z posłania, schowałem koc i poduszkę i otworzyłem drzwi złożywszy przedtem czerwoną czapkę na głowę. Do mojego biura zbliżał się oficer niemiecki z żołnierzami na „gotuj broń”. Ja składałem meldunek oficerowi: „Ich bin Fahrdienstleiter deutsche beamte” (jestem dyżurnym ruchu, niemieckim urzędnikiem). Oficer poklepał mnie po ramieniu i pochwalił, że pilnuję porządku. Mnie ta pochwała wcale nie ucieszyła. Wolałbym być od nich z daleka. W międzyczasie pytał mnie, jaka sytuacja i łączność. Wszystko mu dokładnie wyjaśniłem. Dzwoni telefon - To Pilawa. Biorę słuchawkę. Oficer zabiera mi mówiąc: „Ich will sprechen” (ja chcę mówić), ale zaraz oddaje mi słuchawkę mówiąc: „Das ist polnische sprache, Ich kann nicht verstehen” (to jest polska mowa, nic nie rozumiem). Kolega w dalszym ciągu pyta, ale ja nie chcę zdawać relacji z naszej rozmowy. Położyłem więc słuchawkę meldując, że jest przerwa. Oficer wychodząc z biura mówi do mnie: „Kommen Sie mit” (niech pan idzie z nami), a do żołnierzy daje rozkaz: „Kompani pionier, man muss dieser bahnhoff sofort in luft

schmeissen” (minerzy, trzeba stacje natychmiast w powietrze wysadzić). Gdy usłyszałem polecenie oficera, zwróciłem się do niego z prośbą, aby dał mi pół godziny czasu, bym mógł ostrzec mieszkańców na stacji, tłumacząc, że tam mieszka około 30 osób. Gdy mieszkańcy stacji wyjdą, to już dalej ich sprawa. Oficer na moją prośbę zgodził się. Ja zaraz wybiegłem na górę budząc śpiące rodziny: Cholewińskiego, Brzezińskiego i Naumczyka z poleceniem ucieczki ze stacji, a sam zszedłem na dół, popatrzyłem, gdzie jest oficer. Widząc go zwróconego w drugim kierunku, zdjąwszy czapkę z głowy, schowałem się za budynek stacyjny, a potem za dom Matoska i udało mi się uciec do domu, aby ostrzec żonę, że uciekam do lasu. Z daleka słyszę wołanie oficera: „Wo ist diese Fahrdienstleiter. Wo ist Aufdienstbeamte” (gdzie jest ten dyżurny ruchu, gdzie ten urzędnik kolejowy?) „Kommst du mir” (chodź do mnie). Wołania te powtarzały się kilkakrotnie. Możesz sobie szkopie wołać, ale ja już się wam nie pokażę. Oficer jednak był na tyle konsekwentny, że dotrzymał słowa. Pomimo, że ja zbiegłem, czekał te pół godziny z wysadzeniem stacji. A żeby im się nie nudziło stał w bezczynności, pojechali sobie pancerką dalej w kierunku frontu. Po ich odjeździe ze stacji mogłem spokojnie wrócić do domu i zjeść śniadanie. Jadący pociąg pancerny zdążył dojechać aż pod Pilawę. Około godz. 7.00 wjechał od strony Otwocka parowóz poprzedzony pustą platformą, na której było pełno pasażerów. Pojechał dalej za pociągiem pancernym zadaniem jego było ostrzec pancernika, że ma szybko wracać, bo są otoczeni. Po wykonaniu zadania szybko się wycofał, uciekając do Otwocka.

Pociąg pancerny nawiązał walkę z czołgami polskimi i sowieckimi, które jadąc szosą Lublin-Warszawa z odległości 1,5 km zjechały w stronę pociągu pancernego. Widząc przewagę ogniową czołgistów pancerniacy wieją w popłochu z powrotem. Teraz już nie ma czasu na podminowanie stacji. W Pogorzeli żołnierze polscy wspólnie z sowieckimi zrobili na pociąg pancerny pułapkę. Rozkręcili szyny, skryli czołgi w lasku sosnowym i oczekiwali na bohaterów. Wracający parowóz jeszcze spokojnie przepuścili. Pociąg pancerny uciekający z pełną prędkością w miejscu rozkręconych szyn wykoleił się. Czołgi teraz wyszły z ukrycia, podjechały bliżej pociągu i dokonały całkowitego zniszczenia pociągu i załogi. Z ostatniego wagonu platformy udało się po opuszczeniu pomostu zjechać jednemu z czołgów niemieckich, który kryjąc się za nasypem kolejowym uciekł do Otwocka. Po paru godzinach tej akcji, kiedy już w Celestynowie około godz. 12.00 zaświtała jutrzienka wolności w postaci żołnierzy polskich i radzieckich, udałem się też do Pogorzeli, aby zobaczyć rozbity pociąg pancerny. Parowóz wykolejony, przekrzywiony w prawo i zabici maszynista z pomocnikiem. Kilkunastu zabitych Niemców. Ściany wagonów o grubości do 2 cm przedziurawione od kul moździerzowych. Po schowkach i zakamarkach pancerni można było jeszcze znaleźć trochę broni i amunicji, którą przeoczyli nasi żołnierze. Tak skończyły się wojenne wyczyny pancerniaków. A teraz refleksja. Dzięki temu, że znałem niemiecki, uratowałem swoje życie, bo miałem być zabrany do pociągu pancernego. Uratowałem też od zagłady nie tylko stację Celestynów, ale wszystkie stacje aż do Warszawy.

Zadaniem pociągu pancernego było zabierać ze sobą personel kolejowy i wysadzać w powietrze budynki i urządzenia stacyjne oraz niszczyć za sobą tory, mosty, wiadukty, nastawnie itp.



KONIEC OKUPACJI

Wojsko wraz z kolejarzami w pośpiechu przystąpiło do naprawy uszkodzeń torowych i nawiązania łączności telefonicznej i telegraficznej, aby można było przywrócić komunikację, ruch pociągów wojskowych i pasażerskich. Po trzech dniach pracy około 1 sierpnia 1944 roku zaczęły już kursować pociągi wojskowe i w małej ilości osobowe. Życie poczęło wracać do normy. Znikła już obawa utraty życia, na którą podczas okupacji człowiek był narażony. Niemców już u nas nie ma. Ale wojna w dalszym ciągu trwa. Do końca wojny jeszcze daleko. Pewnego razu, sprawując czynności dyżurnego ruchu, zatrzymałem pociąg z wojskiem, jadący w kierunku Warszawy, ponieważ szlak miałem zajęty jadącym z Warszawy pociągiem. Z zatrzymanego pociągu wyskoczył do mnie oficer sowiecki i wymachując rewolwerem począł krzyczeć na mnie: „Job twoju mać, zaczem ty pojezd zadierzać. Nam spieszo na Berlin”. Ja starałem się wytłumaczyć durniowi, że z przeciwnej strony jedzie też pociąg wojskowy, ale on tego nie rozumie i powtarza: „Ja ciebia zastrieliu”. Wkurzyła mnie ta tępota oficera, więc odwróciłem się do niego tylną stroną ciała i powiedziałem: „strzelaj durniu do mnie! Niemcy już kilkakrotnie strzelali, a jednak jeszcze żyją!” Incydent ten zauważył z daleka polski oficer. Podszedł szybko do mnie pytając, co się tu dzieje. Na co zdenerwowany powiedziałem: „Panie poruczniku, proszę temu durniowi wytłumaczyć. On chce mnie zastrzelić za to, że zatrzymałem wasz

pociąg. Przecież skrzyżowanie dwóch pociągów musi się odbyć na stacji”. Polski oficer wytłumaczył mu to. Bohater schował wydobyty na mnie pistolet. Gdy oczekiwany pociąg przeszedł na stację, powiedziałem do Sowietą: „Teraz ciebie trzeba by zastrzelić”. I zrobiłem znaczące kółko na czole. W parę dni po tym wydarzeniu, gdy po skończonej służbie nocnej ok. godz. 8.30 wracałem ze stacji do domu, nie wiadomo skąd tak rano znalazł się pijany kozak sowiecki na koniu. Ja byłem ubrany po kolejowemu. Na głowie czerwona czapka. Kozak bezczelnie zaczął najeżdżać na mnie koniem, a gdy mu zwróciłem uwagę, pytając: „czy ty durak?”, żołdat ze śmiechem do mnie mówi: „pocałuj ty moją kobyłę”, na co ja odwróciłem się, zagiąłem płaszcz i krzyknąłem: „a ty durniu możesz mnie pocałować w dupę”. Na te słowa złapał za rewolwer, ale ja szybko robiąc uniki uciekłem z powrotem na stację. Strzelał za mną, ale w stanie nietrzeźwym i na koniu - niecelnie. Po odzyskaniu wolności nasze celestynowskie AK ujawniło się. Zrobiliśmy sobie zbiórkę i ćwiczenia w lesie, a potem ze śpiewem piosenki partyzanckiej doszliśmy aż do budynku stacyjnego. Ktoś przeciwny organizacji AK zrobił sobie listę i usłudźnie dostarczył ją władzom. W pierwszych dniach marca 1945 roku, gdy byłem w domu, przybiegł do mnie syn p. Mazura, który był komendantem MO w Celestynowie z ostrzeżeniem, abym uciekał, bo przyjdą po mnie. Ja oczywiście zaraz zwałem do domu. Przez trzy dni ukrywałem się u brata w Sępochowie. Przeniosłem się z pracy w Celestynowie do Warszawy Wileńskiej na stanowisko naczelnika stacji. U mnie w domu byli, ale żona tłumaczyła im, że

wyjechałem w lubelskie i sama niepokoi się o mnie, że nie wracam do domu. W moich wspomnieniach z czasów okupacji nie można pominąć wspomniałej osoby, jaką był ksiądz Edmund Banasiewicz, proboszcz parafii w Celestynowie. Był to wspaniały kapłan, jak to się mówi „do tańca i do różańca”. W życiu prywatnym był bardzo towarzyski, pełen humoru i uśmiechu. Wielki przyjaciel mojej rodziny. Przed Świątami Bożego Narodzenia 1939 roku Niemcy rozpoczęli w Celestynowie haniebną łapankę. Wszystkich zatrzymanych zgromadzili pod ścianą budynku stacyjnego. W grupie zatrzymanych znalazł się też ksiądz Banasiewicz. Gdy o tym dowiedziała się pani Zdziechowska, żona majora WP, mieszkanka Celestynowa, przybiegła, aby księdza za wszelką cenę uwolnić. Należy nadmienić, że pani Zdziechowska była Niemką urodzoną w Berlinie. Kilkakrotnie prosiła Niemców, aby księdza zwolnili tłumacząc, że on nie winien, do bandytów nie należy, że ksiądz jest w wielkiej przyjaźni do jej rodziny. Prośby te jednak nie odnosiły skutku. Niemcy wyprowadzają zatrzymanych do lasu, gdzie na polanie ma się odbyć egzekucja. Pani Zdziechowska cały czas jest przy zatrzymanych. Tu na polance ponawia swoje prośby o ułaskawienie księdza. Bez rezultatu. Nie ma zgody. Nareszcie Niemcy ustawiają zatrzymanych w szereg, a na przeciw ustawia się pluton żołnierzy z bronią, mający dokonać rozstrzelania. Pani Zdziechowska zdobywa się na desperacki czyn - rzuca się do nóg oficera i całując je błaga płacząc o litość dla księdza. W tym momencie słyszy głos oficera: „Banasiewicz raus!”, a ona głośno powtórzyła: „Niech ksiądz ucieka”. Na te słowa swej wybawicielki

ksiądz wyszedł z szeregu i począł uciekać. W tym czasie na daną komendę pluton żołnierzy dał salwę do stojących Polaków. Uciekający ksiądz myślał, że te strzały to do niego, jak do zająca - przewrócił się. Gdy oprzytomniał, podniósł się i zobaczył oddalających się Niemców, a do niego biegła pani Zdziechowska, szczęśliwa, płacząc, że udało się jej księdza uratować. Przy jej pomocy ksiądz doszedł do zabitych ofiar i udzielił wszystkim ostatniej posługi kapłańskiej. Po przybyciu z pomocą pani Zdziechowskiej do domu, gdy ksiądz spojrział do lustra, zobaczył siwiutkiego jak gołąbek staruszka, mimo, że w tym czasie miał 40 lat. Przez cały czas okupacji w Celestynowie 3 maja i 11 listopada my, akowcy, zbieraliśmy się w kościele, aby wysłuchać mszy świętej, którą odprawiał ksiądz Banasiewicz i wygłaszał płomienne patriotyczne kazania. Po każdej mszy na koniec śpiewaliśmy nasz hymn „Boże, coś Polskę”. Zawsze intonowałem ja, aby w razie czego odpowiedzialność nie spadła na księdza lub na grającego na organach kolegę Szczakowskiego. Do mszy świętej służyli moi synowie Wiesiek i Kazik. Podczas odprawianej mszy zawsze była poza kościołem ustawiana warta, aby ktoś niepowołany nie zakłócił nam spokojnej modlitwy patriotycznej. Ksiądz Banasiewicz ostatnie lata swego życia spędził w domu księży emerytów w Warszawie przy ulicy Ratuszowej. Odwiedziłem go kilkakrotnie. Ja 19 lipca 1945 r. wyjechałem na Ziemię Odzyskane do Słupska, gdzie na stanowisku dyspozytora ruchu doczekałem emerytury w 1964 r.

NA ZACHÓD

Po odzyskaniu niepodległości Polski przenieśliśmy się ze stacji Celestynów, gdzie pracowałem przez cały czas okupacji, na stację Warszawa Wileńska, na stanowisko zastępcy naczelnika stacji. Z uwagi na to, że nie było w Warszawie gdzie mieszkać, dojeżdżałem do pracy, a pociągów było tylko 5 na dobę. Z Warszawy zaczynają wyjeżdżać pierwsze transporty kolejarzy na Ziemię Odzyskaną. W marcu 1945 r. wyjeżdża pierwsza grupa około 70 osób celem zorganizowania dyrekcji olsztyńskiej, potem następne grupy w kwietniu, maju i czerwcu, do Wrocławia i Szczecina. Ja zdecydowałem się jechać na ochotnika. Wybrałem dyrekcję szczecińską, bo wołałem morze niż góry. Ten ogrom wody zawsze mnie od małego chłopca pociągał. Wyjechaliśmy z Warszawy 19 lipca 1945 r. o godz. 20.00. W grupie 72 osoby. Ja byłem kierownikiem tej grupy. Było około 20 kobiet. Na drogę otrzymaliśmy po 200 zł oraz suchy prowiant. Zarezerwowano dla nas dwa wagony z pomostami starego typu. Każdy oszołomiony tym, że ma jechać w nieznaną, ale ważne było to, że było dość wygodnie jechać - miejsca dosyć. Zmęczeni dziennym upałem oraz oczekiwaniem na załatwienie wszystkich formalności, niektórzy już posnęli, tylko Staszek i Stefan, dyżurni ruchu ze stacji Warszawa Wileńska, dwaj kumple, przyjaciele od kielicha, popiwszy sobie nie mogli znaleźć miejsca, bo albo się całowali jak z dubeltówki albo się bili. Nareszcie spokój. Dotychczas, co raz musiałem godzić poważniejszych. Około

godziny pierwszej w nocy pomęczone towarzystwo posnęło. W pewnej chwili słyszę beczenie kozy na pomoście naszego wagonu. Zaintrygowany wychodzę. Okazuje się, że na stacji Września wsiada do naszego wagonu matka wraz z dwojgiem dzieci lat około 8 i 10. Oraz koza. Ponieważ pociąg był przepelniony jadącymi szabrownikami, podróżni znaleźli sobie miejsce na pomoście naszego wagonu. Pytam matkę, dokąd jedzie. „Na zachód jedziemy, panie”. Trzeba było przyjąć matkę z dziećmi. Ulokowałem je jakoś w wagonie, a kozę przywiązałem krótkim łańcuszkiem na pomoście. Z początku była bardzo niespokojna, ale po pewnym czasie przywykła już do podróży i położyła się patrząc, co by tu można jeszcze skubnąć. Koza to bardzo mądre bydlę. Przez 18 lat mej pracy na kolei jako dyżurny ruchu nie było wypadku. Ginęli ludzie pod pociągiem, konie, krowy, owce, ale nigdy pociąg nie przejechał kozy. Nieraz obserwowałem to stworzenie. Będą beczeć, skakać po torach, ale niech tylko posłyszają z daleka zbliżający się pociąg, całe to towarzystwo w podskokach wieje z torowiska jak najdalej. W Poznaniu do naszych wagonów dosiadła jeszcze grupa pięciu kolejarzy oraz dwóch wojskowych, co nie podobalo się Staszкови i Stefanowi. Przebudzeni ze słodkiej drzemki zaczęli znowu rozrabiać. Tym razem przyczepili się do spokojnego sierżanta. Musiałem kolegów znów uspokoić i odciągnąć, bo nie wiem, czy nie byłoby znów bójki, a tego nie chciałem. Na szczęście przypomnieli sobie, że jeszcze mają bimber w butelce. Zabawa znów się zaczęła, tak że po pewnym czasie i żołnierze znaleźli się w ich towarzystwie. Niestety, sielanka urwała się na stacji Krzyż.

Pociąg wszedł do Szczecina, więc tam trzeba było wysiąść, ponieważ dyrekcja nasza mieściła się w Szczecinku. W wagonie pozostali żołnierze, matka z dziećmi i koza. Teraz mogli zająć miejsca siedzące. My z tobołami pozostaliśmy na pustym peronie. Do dalszej jazdy dano nam dwa wagony kryte, towarowe, wyściełane słomą. Niektórym taka zmiana nawet się spodobała. Ponieważ dotychczas zdążyło się towarzystwo męskie z żeńskim zapoznać, zaraz się porobiły grupki w jednym i w drugim wagonie. Z Krzyża około godziny 14.00 doczepiono nas do pociągu osobowego i jedziemy dalej. W Pile znów nas odczepiono. Udajemy się do stołówki kolejowej, gdzie smaczna zupka wszystkich nas pokrzepiła. Potem zwiedzanie miasta. Około godziny 16.00 jazda dalej. W Szczecinku, mimo spóźnionej pory (godzina 18.00), czekano na nas. Całą grupę postanowiono skierować dla obsadzenia stacji Szczecin. Ja od chwili wyjazdu z Warszawy chciałem się dostać do Słupska. Dowiedziałem się od przyjeżdżających stamtąd kolegów, że tam jest oddział ruchu, a kierownictwo znane mi jest z Warszawy. Poza tym ładne miasto, blisko morza, piękna plaża w Ustce. W Szczecinie całe życie nie było jeszcze uregulowane, bójki i szaber panował tam nade wszystko. Kierownictwo dyrekcji zgodziło się na moją prośbę i całą grupę kieruje do Słupska. Noc w wagonach spędziliśmy w Szczecinku. Na drugi dzień około godziny 7.00 jazda dalej, przez Białogard, Koszalin. Nareszcie do Słupska przyjechalśmy dnia 21 lipca, godz. 13.00. Była to niedziela. Miejscowa władza z naczelnikiem Osieckim na czele czekali na nas na peronie. Byli też kontroler Adaszkiwicz, kierownik biura personalnego

Nowakowski, Mateja, Salomon. Zaprowadzono nas do stółki, gdzie zjedliśmy po dwóch dniach podróży smaczny obiad, po czym do świetlicy na spoczynek, ale mało kto tam pozostał. O godzinie 15.00 większość pojechała nad polskie morze do Ustki. Przecież dużo z jadących tam osób w ogóle jeszcze morza nie widziało. Ja po raz pierwszy widziałem już morze w 1932 roku, pojechałem nad Bałtyk do Gdyni. Nic dziwnego, że ktoś już w pociągu żartem powiedział do jadących: „Cholera, ale mają chamskie zacięcie na jazdę. Dwa dni jechali. Zamiast odpoczął, to jadą sobie dalej”. Na drugi dzień meldowanie się w biurze i przydzielanie stanowisk. Ja zostałem na stanowisku dyspozytora ruchu. Na tymże etapie byli starszy dyspozytor Wadowski, Mikołajew i Iłkiewicz. Pozostałych delegowali na stanowiska zawiadowcy stacji, dyżurnych ruchu, konduktorów. Parę osób, przeważnie niewiast, pozostało w biurze oddziału. Zatrudnionych około 20 osób skierowano do Szczecina. Pojechali tam bardzo niechętnie. Kilku z nich od razu wyruszyło z powrotem do Warszawy. Dyrekcja szczecińska była podzielona na 5 oddziałów ruchowo-handlowych: Szczecin, Stargard, Szczecinek, Białogard i Słupsk. Nasz EO5 Słupsk mieścił się tam, gdzie obecnie jest przedszkole kolejowe. Meble musieliśmy sobie sami skombinować- zwoziło się konikiem pana Wadowskiego z magazynów poniemieckich. Pisało się na drukach poniemieckich. Telefony kręcone korbą. Aby w biurze było ciepło, trzeba było węgla sobie ukraść z wagonów. Pewnego razu, gdy w nocy z wiadrem wlałem na węglarkę, przestraszyłem się, bo zobaczyłem sokistę. A ten mówi do mnie: „Panie dyspozytorze, ja też

z wiaderkiem”. Innym razem po skończonym urzędowaniu szliśmy ulicą Dworcową (obecnie Wojska Polskiego). Jedną z koleżanek, Irena Sawicka, miała na głowie zawiązaną chustkę na wzór niemiecki - w turban. A środkiem jezdni szła grupa Niemców, mężczyźni i kobiety, na roboty. Milicjanci wyłapywali takie osoby. Podeszli też do nas, aby nam zabrać Irenę. My ją bronimy, że to Polka. „To po co się za Niemkę przebiera?” - mówi milicjant. Musiała się legitymować dowodem osobistym. Zaraz potem tenże milicjant zaczepił dwoje Niemców, popychając ich do grupy na jezdni. Na co Niemiec, trzymając w ręku laskę, chciał uderzyć milicjanta, lecz ten wyrwał mu laskę i kilka razy wlepił Szkopowi. Dostał od nas i przechodzących Polaków duże brawa, bo dotychczas podczas okupacji widziało się jak Niemcy biją Polaków, a tu było odwrotnie. Polski milicjant uderzył Niemca, bo ten zawinił. Bardzo dobrze poskromił butę. Z okien naszego biura, od strony południowej, w wolnych chwilach można było obserwować ruch pieszy i tramwajowy przy dworcu kolejowym. Tramwaje zostały uruchomione dopiero w październiku 1945 r. Były tylko dwie linie - „Jedynka” kursowała od dworca kolejowego do ulicy Arciszewskiego i „Dwójka” od ulicy Szczecińskiej do Ryczewa. Tramwajem nie bardzo można było przyspieszyć, ponieważ na trasie były mijanki celem skrzyżowania pojazdów. Na szczęście w roku 1949 tramwaje zostały zlikwidowane, a wprowadzono komunikację autobusową, która docierała do wszystkich dzielnic miasta. Obecnie mamy już w Słupsku 13 linii autobusowych. Dworzec kolejowy był spalony. Pozostała tylko trzecia część, która jest dotychczas.

Gdyby nasze władze kolejowe odbudowały wypalone mury, które stały w mocnej całości, byłby to bardzo funkcjonalny budynek, godny wojewódzkiego miasta Słupska. Zbudowany był symetrycznie. Część środkowa była dwupiętrowa, a boki jednopiętrowe. Niestety, z wiosną 1946 roku zaczęła się rozbiórka dworca. Cegła została wysłana do odbudowy Warszawy. To samo było ze spalonymi kamienicami starego miasta. A obecnie w naszym mieście zamiast dworca stoi i straszy swym wyglądem barak. Ładna to wizytówka naszego wojewódzkiego miasta Słupska. Z wiosną 1948 roku, w związku ze sprawą „Robino” został aresztowany nasz naczelnik wydziału ruchu, Stanisław Osiecki oraz kierownik biura Lewandowski. Magazynier Mateuszuk ukrywał się. Na miejsce aresztowanego naczelnika Osieckiego nie został mianowany dotychczasowy zastępca Szczepański, mimo że to on był prawdopodobnie tego przyczyną, ale mianowano naczelnikiem oddziału Mariana Rękawka, byłego kontrolera ruchu z Warszawy. Pewnego razu, gdy po nocnym dyżurze, 24 godz., położyłem się w domu spać, usłyszałem głos dzwonka. Uchyliłem nieco firanki w oknie i widzę sokistę. Otworzyłem drzwi i pytam w jakiej przyszedł sprawie. Ten odpowiada, że zastępca oddziału Szczepański wzywa mnie, abym się stawił do biura. Na co odrzekłem sokiście, by powiedział panu Szczepańskiemu, że jak się prześpię, to sam o godz. 12.00 się u niego zamelduję. Sokista odszedł, a ja znów się położyłem spać. Po pewnym czasie znowu słyszę dzwonek. Okazuje się, że ten sam sokista, teraz już z karabinem. Mówi, że z polecenia pana Szczepańskiego ma mnie doprowadzić. Teraz to już naprawdę się przestraszyłem.

W związku z tą sprawą Robino były aresztowania, więc myślałem, że gdzieś niebacznie coś się tam może powieździało, a doszło to do tego Szczepańskiego i będę aresztowany. Ubrałem się i idziemy, ale po drodze prosiłem sokistę, żeby szedł parę metrów za mną, aby znajomi nie mówili, że jestem aresztowany. Po przybyciu do biura sokista zameldował Szczepańskiemu, że przyprowadził dyspozytora Święcha i odszedł, a ja zostałem oko w oko ze Szczepańskim, stojąc wystraszony przy drzwiach. A on, z uśmiechem, że dokona swego, za biurkiem. Dopiero po pewnym czasie, gdy nieco ochłonałem, spytałem, dlaczego tak bezwzględnie kazał mnie przyprowadzić. Na co usłyszałem odpowiedź: „Bo pan podczas swej służby opóźnił transport wojskowy idący z Gdyni do Kołobrzegu”. Gdy usłyszałem, o co chodzi, od razu uspokoiłem się i zapewniłem, że ja żadnego transportu nie opóźniłem. Podczas mej służby było razem 8 transportów do Szczecina, Piły i Kołobrzegu, tylko ostatni transport był opóźniony, ale taki przyjąłem już z Lęborka, z dyrekcji gdańskiej. Na moje oświadczenie pan Szczepański polecił mi zaraz napisać wyjaśnienie i jemu doręczyć. Po skomunikowaniu się ze stacją Pogorzelice, o godzinie zapytania Lęborka o wolną drogę i dania przez Pogorzelice zgody, stwierdziłem, że to stacja Lębork się zapchała i mówi, że dyspozytor ruchu ze Słupska dawał „Stój”, a to było nieprawdą. Gdy napisałem wyjaśnienie, poszedłem, aby poskarżyć się do naczelnika Rękawka. Po wysłuchaniu mej relacji polecił mi przywołać Szczepańskiego, a gdy ten się zjawił, powiedział: „Ty hulajnego, odpieprz się od dyspozytora Święcha, bo nie masz racji” a

wyjaśnienie moje wrzucił na jego oczach do kosza. Pewnego razu starszy dyspozytor ruchu Wadowski posprzeczał się ze Szczepańskim i powiedział: “Do osoby pana pasuje powiedzenie Nie matura lecz chęć szczerą robi w wojsku oficera, a poza tym to ja bym pana nawet nie chciał za stangretka, bo mój konik, jak by się obejrzał do tyłu, to zaraz podniósłby ogon i chciałby...”. Niedługo po tej wymianie słów pan Wadowski został zdjęty ze stanowiska starszego dyspozytora, a na jego miejsce został mianowany Marian Rydel. Ja, mimo że byłem zastępcą pana Wadowskiego, nie otrzymałem awansu, bo byłem bezpartyjny. A pan Wadowski, nie mogąc pogodzić się z taką decyzją, po prostu się rozpił, a po paru miesiącach zmarł. W październiku 1949 roku nasz RO5 Słupsk został zlikwidowany, całe biuro rozparcelowane do Szczecina, Szczecinka i na stację. Ja zgodziłem się być rezerwowym dyżurnym ruchu, ale w końcu sprzykrzyła mi się ta tułaczka i w kwietniu 1950 roku wróciłem na swoje stanowisko dyspozytora ruchu. Zatem do pracy w Szczecinku dojeżdżałem co trzeci dzień, bo praca w turnusie była 24 godz. W marcu 1952 roku oddział ruchu znowu wrócił do Słupska. Najpierw do budynku obecnej przychodni lekarskiej, a po roku na ulicę Wojska Polskiego. Naczelnikiem oddziału został mianowany Stanisław Radzik, a zastępcą pan Kotowicz. Obydwaj abstynenci, tylko z tą różnicą, że zastępca mógł być ojcem swego zwierzchnika. Ja pewnego razu na strychu znalazłem krzyż i powiesiłem go na ścianie przy swoim biurku. Kiedy miało być malowanie ścian, krzyż ze ściany zdjąłem i schowałem do biurka. Gdy przyszedłem na następny dyżur, pokój był odnowiony, więc

wszedłem na stół, aby krzyż zawiesić. W tym czasie wchodzi do pokoju pan Kotowicz i pyta, co ja robię. Odpowiedziałem: „Wieszam krzyż”. A naczelnik na to: “Przecież pan wie, że krzyży wieszać nie wolno”. Na co odpowiedziałem: „Na drugiej stronie wisi godło państwa, a po mojej stronie będzie wisiał krzyż”. W parę dni potem z żoną razem i z dwoma córkami jedziemy do Gdańska, do syna, który tam studiował na WSP. Jeszcze na postoju pociągu w Słupsku wchodzi do naszego przedziału pan naczelnik Kotowicz. Po przywitaniu się z nami i paru słowach rozmowy pociąg rusza, a pan Kotowicz żegna się, robi znak krzyża. Oczywiście, my jak zwykle robimy to samo. Nieznaczenie trąciłem łokciem żonę, czy widziała. Ona skinęła głową „Tak”. Nie wytrzymałem i pytam: „Panie naczelniku, czy pan jest wierzący?”. A on zdziwiony odpowiada: „Tak”. Dopiero teraz mu przypomniałem jak parę dni temu zwracał mi uwagę, gdy ja w biurze krzyż wieszałem. On odpowiedział: „To był mój obowiązek”. Naprawdę, dziwna mentalność człowieka. Po moim przyjeździe do Słupska w roku 1945 mieszkań wtedy było do wyboru. Byli tacy, co mieszkali w kilku mieszkaniach. Ja udałem się na Zatorze, na ulicę Court Criet Strase, obecnie Zygmunta Augusta. Przy domu nr 38 stała u furtki Niemka, pani Schmude, i pyta: „Suchen Sie Wohnung?”. Odpowiedziałem: „Tak, szukam mieszkania”. Zostałem na tej ulicy drugim Polakiem. W Słupsku w 1945 roku czynny był tylko jeden kościół - Św. Ottona przy ulicy Partyzantów. Obecnie ścisła klauzura sióstr zakonnych. Kościół Mariacki był spalony, a pozostałe dwa kościoły - Św. Jacka i Serca Pana Jezusa były nieczynne z braku księży.

Proboszczem był ksiądz Jan Zieja, były kapelan Powstania Warszawskiego. W lipcu 1946 roku na placu obok gimnazjum przy ul. Bieruta odbył się pogrzeb 22 Polaków rozstrzelanych przez Niemców na początku marca 1945 roku w Lasku Południowym w Słupsku. Uroczystości żałobne i mszę św. odprawił ksiądz Jan Zieja. W roku 1947 22 trumny przeniesione zostały na Cmentarz Komunalny. Na propozycję ks. Zieji władze miasta Słupska plac, gdzie byli pochowani zamordowani Polacy nazwano Placem Powstańców Warszawskich. Postawiono tam też ładny pomnik. Ksiądz Zieja w 1947 r., gdy poczęli napływać do Słupska nowi księża, utworzył na ul. Grottgera nową parafię pod wezwaniem Św. Rodziny. Kościół powstał z kasyna oficerskiego. W marcu 1949 r. ksiądz Zieja, z uwagi na słabe zdrowie, na polecenie lekarzy wyjechał do Warszawy, gdzie żyje jeszcze, ma 92 lata, nosi długą brodę i mieszka na Powiślu, ul. Dobra 59/13. W czerwcu 1946 roku Niemka gdzie mieszkałem wraz z trzema córkami wyjechała do Niemiec. Pomogłem jej uczciwie dźwigać walizy aż do Szczecina. Kiedy już przy tramwaju mnie żegnała, dziękując za pomoc, przykazała mi, abym się opiekowałem jej mieszkaniem oraz ostrzegła mnie, abym nie pił tej wódki, którą pozostawiła w kredensie. Na szczęście nikt nie pił, wódka została wylana do zlewu. Podczas mej pracy w zespole dyspozytorskim systematycznie raz w roku otrzymywaliśmy ankiety do wypełnienia z szeregiem pytań, między innymi: „Czy masz kogoś krewnego za granicą? Czy należałeś do AK? Czy należysz do partii?”. Ja oczywiście na te pytania trzykrotnie odpowiadałem „Nie”. Aktywiści partyjni nas bezpartyjnych

nazywali „darmozjady”. W dyspozytorni pracowało nas 18 osób. Ja byłem najstarszy wiekiem, stażem pracy i doświadczeniem w służbie. Byłem zastępcą starszego dyspozytora ruchu, pana Józefa Wadowskiego, ale kiedy pan Wadowski w październiku 1946 roku zmarł, ja na to stanowisko nie otrzymałem nominacji, bo byłem bezpartyjny. Awans natomiast otrzymał partyjny kolega, Marian Rydel. Awanse, nagrody, zawsze mnie omijały. Młodszy ode mnie wiekiem i służbą byli awansowani, a ja w ostatniej kolejności. W czerwcu 1964 roku, po 38 latach mej pracy na PKP, przeszedłem na dobrze wysłużoną emeryturę w 5-tej grupie uposażenia. Grupa ta, w porównaniu ze stopniem wojskowym jest stopniem majora. W czasie ciągłej pracy na PKP, a mojej żony Jadwigi w domu, mimo że się nie przelewało, zdążyłem dać wykształcenie dzieciom, z których Wiesław ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Gdańsku na Wydziale Biologii, doszedł do stopnia magistra. Córka Teresa ukończyła Uniwersytet w Warszawie, też na Wydziale Biologii. W roku 1978 obroniła pracę doktorską. Najmłodsza córka Maria ukończyła Wydział Farmacji w Warszawie. Tylko syn Kazimierz skończył swoje wykształcenie na niepełnym średnim. Cóż, zdolności miał, tylko brak chęci do nauki. Nie moja w tym wina. Dnia 19-go maja 1973 roku zmarła moja żona Jadwiga. Pozostałem sam. Czułem się bardzo źle psychicznie i na zdrowiu po ostatniej operacji żołądka (a było tych operacji w moim życiu osiem). Niezdolny w dalszym ciągu pracowałem i prowadziłem dom i ogród, postanowiłem sprowadzić syna Kazimierza. Aby się czuł gospodarzem, przepisałem własność hipoteczną na jego

imię, pozostawiając dla siebie na piętrze pokój z kuchnią. Byłem samodzielny. Nauczyłem się od żony Jadwigi gotować posiłki. Niestety, w listopadzie 1985 roku syn Kazimierz zmarł. Zostałem teraz z synową, która nie darzyła mnie zbyt wielką miłością i sympatią. W życiu swoim jeszcze za życia żony pożyłem dzieci. Doczekałem się 9-ciu wnuków i 6-ciu prawnuków. I tak mogłem spokojnie żyć aż do śmierci. Pożyłem dzieci, doczekałem się wnuków i prawnuków i mogłem tak sobie mieszkać spokojnie aż do śmierci. Tymczasem los pokierował moje życie inaczej. Po mojej kolejnej ósmej operacji, wskutek utraty zdrowia, braku krążenia krwi, niedowładu rąk i nóg nie mogłem już dalej żyć bez stałej opieki, której niestety też nie miałem. Od dnia 8 czerwca 1992 r. zamieszkałem w Domu Wysłuzonego Kolejarza w Milanówku. Jest to dom o 220 pokojach, budynek dwupiętrowy, zbudowany w środku pięknego parku. Są tu dwa stawy rybne. Przed wojną była to własność jakiegoś dziedzica, a obecnie państwo przeznaczyło te 54 hektary na rzecz PKP, które w 1956 roku zbudowało ten budynek dla wysłużonych kolejarzy. Warunki tu są bardzo dobre. Opłata za całkowite utrzymanie wynosi 75% od emerytury, dlatego większość emerytów jest takich, którzy mieli małe emerytury lub renty. W domu by na życie i utrzymanie domu nie starczyło. Wyżywienie bardzo dobre, kaloryczne, urozmaicone. Mam pokój o powierzchni 15 m², z balkonem od strony południowej, z telewizorem kolorowym, stół, trzy krzesła, fotel, dwie szafy i łóżko. Opieka lekarska na miejscu oraz pielęgniarki dyżury całodobowe. Do lekarzy specjalistów dojeżdża się samochodem „Nyską” do stacji

kolejowej w Milanówku, a potem pociągiem do Warszawy do Centralnej Przychodni Lekarskiej na ulicy Nowogrodzkiej. Ciężej chorzy są przewożeni specjalną sanitarką. Jest też szpitalik i apteka oraz kaplica, w której w każdą niedzielę i święto oraz przy innych uroczystościach kościelnych odprawia msze ksiądz kapelan kanonik Tadeusz Jeziorek z Żukowa. W dniu Święta Kolejarza 25 listopada 1992 roku zostałem odznaczony Złotym Krzyżem „Przodujący Kolejarz” za zasługi dla kolejnictwa podczas okupacji hitlerowskiej. Dopiero po 47 latach go otrzymałem dzięki staraniom pana dyrektora Janeckiego. Oprócz powyższego mam kilka medali i odznaczeń, które poprzednio otrzymałem w Słupsku: Medal Chrześcijańskiej Unii Pokoju i Postępu, Medal za Zasługi dla Miasta Słupska, Odznaka Honorowa za Zasługi dla Województwa Słupskiego, Krzyż Kampanii Wrześniowej 1939 r., Medal Rodła, Medal Koła Pierwszych Słupszczyzan, Medal Światowego Związku żołnierzy Armii Krajowej, Medal Związku Walki o Wolność i Demokrację Polski.

WSPOMNIENIE Z PIELGRZYMKI DO RZYMU

W sierpniu 1988 roku odbyłem autokarową pielgrzymkę ze Słupska do Rzymu. Pielgrzymka została zorganizowana przez naszego proboszcza Stefana Metryckiego z Kościoła Salezjanów. Jechaliśmy przez granicę w Cieszynie, Czechosłowację, Bratysławę. Potem Austria, piękne Alpy i około siedmiu tuneli, granica w Aachen i Włochy, piękna Wenecja, jazda gondolami, w końcu Rzym. Spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II na Watykanie dla wszystkich pielgrzymek. Na drugi dzień msza św. tylko dla pielgrzymek z Polski, a było ich 17, następnie zdjęcie z Papieżem w każdej grupie. Msza odbyła się w Castel Gandolfo. Następne wycieczki to zwiedzanie kościołów na Lateranie, Bazylika Św. Piotra i wchodzenie na piętro po 18 kamiennych schodach na kolanach, po których szedł Chrystus na sąd Piłata. To zrobiło na każdym ogromne wrażenie. Ze łzami w oczach i broczącymi krwią kolanami pięliśmy się w górę. Schody te przywiozła z Ziemi Świętej do Rzymu jakaś świątobliwa osoba. Drugim takim miejscem jest Brama Apijska. Kiedy prześladowanie wierzących coraz bardziej się nasilało, wierni prosili Św. Piotra, aby ratował swoje życie i wyszedł z Rzymu. Po długich oporach Św. Piotr posłuchał wiernych. Przy Bramie zwanej Apijską spotkał postać, która go zapytała: „Quo vadis domine? - dokąd idziesz Panie, bo jeżeli ty wychodzisz z Rzymu, to ja wracam, aby mnie po raz drugi ukrzyżowano”. Po tych słowach Piotr poznał Jezusa i wrócił. A na chodniku w miejscu

spotkania są bardzo wyraźne ślady stóp Jezusa. To miejsce też robi ogromne wrażenie religijne. W Rzymie byliśmy 7 dni. Zwiedzaliśmy Colosseum, te ogromne mury, które pochłonęły życie wielu chrześcijan. Arena, na której walczył Ursus z bykiem, aby uchronił Lidię. Kąpałem się w Morzu Tyrreńskim i Adriatyku. Woda bardzo ciepła, trochę słona. Zwiedzaliśmy też Asyż, gdzie są katakumby i dużo tuneli, gdzie kryli się chrześcijanie. Tam spotkałem się z księdzem Bogdanem, który parę lat wcześniej był w Słupsku. Zwiedzaliśmy też Monte Cassino, które po walkach i ogromnych stratach zdobyli Polacy. Byłem na górze klasztornej oraz na grobach 1700 poległych Polaków, generała Ducha i kardynała Gawliny. Kolega Tułowicz był nad grobem swego brata.

SPOTKANIE RODZINNE

W lipcu 1994 roku w związku z 90-tą rocznicą moich urodzin zarządziłem wspólne spotkanie w miejscu naszego urodzenia, we wsi Gadka. Były siostry Marianna, Stefania, Zofia, Antonina i Eugenia z mężem Mieczysławem Chmielarczykiem. Spotkanie odbyło się w miłej atmosferze na wspomnieniach z czasów młodości.

* * * * *

A obecnie żyję w tym Domu Kolejarza jako Zasłużony Kolejarz i mimo wszystko przykro mi, że moje ostatnie lata życia będą musiał spędzać w takiej samotności. Chyba na to nie zasłużyłem. A ile jeszcze do końca życia, Pan Bóg raczy tylko wiedzieć. Ja tylko z pokorą znoszę moje cierpienia i samotność.

Władysław Świąch, Emeryt PKP

Ksiądz Jan Zieja przed wyjazdem do Warszawy ze Słupska prosił mnie, abym przewiózł rzeźbę Matki Boskiej Ostrobramskiej dla prymasa Stefana Wyszyńskiego. Niestety nie zastałem księdza prymasa, gdy przyjechałem do Warszawy. Odbiór rzeźby pokwitował mi dyżurujący ksiądz, notując moje personalia. Po paru dniach otrzymałem osobiście pisane przez prymasa podziękowanie oraz fotografię z pasterskim pozdrowieniem i błogosławieństwem.

Ksiądz Jan Zieja zmarł w końcu października 1991 r. Uroczystości pogrzebowe z honorami wojskowymi odbyły się w kościele Sióstr Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Pośmiertnie został mianowany do stopnia pułkownika. Pochowany został w Laskach przy grobie swojej matki. Urodziłem się 18 czerwca 1904 roku we wsi Gadka w województwie warszawskim. Szkołę podstawową (czteroklasową) skończyłem w Kołbieli. Przez ostatnie dwa lata uczyłem się języka niemieckiego. Po dobrym przygotowaniu przez panią Janinę Zalewską, w roku 1919 złożyłem egzamin do trzeciej klasy prywatnego, ośmioklasowego gimnazjum koedukacyjnego w Otwocku. W 1922 roku po ukończeniu 6-tej klasy musiałem przerwać dalszą naukę, ponieważ byłem synem rolnika i nie miałem z tej racji żadnej zniżki. Miałem ośmioro rodzeństwa i rodzicom nie starczało na dalsze moje kształcenie. W tymże roku wstąpiłem do szkoły technicznej w Siedlcach. Po jej ukończeniu w lipcu 1925 r. zostałem powołany 1 września tegoż roku do odbycia służby wojskowej w 9 Dywizjonie Samochodowym w Brześciu nad Bugiem. Tam był trzymiesięczny kurs rekruta z bronią. Następne pół roku szkoła jazdy, praktyka i wykłady. Dalej jeszcze trzy miesiące wyższy kurs kierowców, który ukończyłem z pierwszą lokatą na 33 żołnierzy oraz awans na stopień plutonowego za 1 lokatę. Cały 1926 rok byłem instruktorem. Do rezerwy zwolniony zostałem 1 września 1927 r. Ponieważ w Warszawie brak było dobrych i uczciwych kierowców, zacząłem pracę jako kierowca taksówki u p. Władysława Ziembickiego (ul. Belwederska 32). Najpierw jeździłem na fordzie T, starego

typu. Na jeden samochód było dwóch kierowców. Jeździło się na dwie zmiany. Po trzech miesiącach pan Ziembicki za dobrą i oszczędną jazdę przydzielił mi 6-osobową limuzynę chevrolet 517. Stawkę zarobkową podwyższył z 25 do 30% dziennego dochodu. Pewnego razu wracałem z Wilanowa, a tuż przy Sadybie Czerniakowskiej stał samochód marszałka Piłsudskiego. Wyszedł z tego samochodu major i dał znak, abym się zatrzymał. Gdy się dowiedział, że jestem wolny, z radością powiedział, że będę wiozł Dziadka, bo ich samochód jest uszkodzony. Wskoczyłem z samochodu, aby Dziadkowi drzwi otworzyć. Dziadek salutując wsiadł, a major powiedział „Jedziemy do Belwederu”. Jechałem tą ulicą po kocich łbach, a gdy skręciłem w bramę Belwederu, warta mnie zatrzymała, lecz gdy poznali w samochodzie siedzącego marszałka, natychmiast salutując bramę otworzyli, a ja z fasonem podjechałem pod kolumny Belwederu. Wskoczyłem z samochodu, aby Dziadkowi drzwi otworzyć, a marszałek z uśmiechem mówiąc „Dziękuję” podał mi rękę, zaś major daje mi 20 zł, mimo, że na liczniku było tylko 4,40. Gdy chciałem wydać resztę, major powiedział: „Nie trzeba, wojsko płaci”. 17 listopada 1929 roku w Kołbieli zawarłem związek małżeński z Jadwigą Kosie-radzką. W październiku 1930 roku pożegnałem się z pracą taksówkarza i zostałem przyjęty do PKP, przydzielony do stacji Warszawa 5-ty posterunek. Gdy zameldowałem się do pracy, naczelnik stacji Sawicki polecił robotnikowi stacyjnemu, aby zaprowadził mnie w teren i zapoznał mnie z miejscem pracy. Spotkałem tam moich przyszłych kolegów i zapytałem, na czym polega ta praca. Oni oznajmili mi, że

każdy ma po dwa rzędy wagonów do pilnowania przed kradzieżą. To mnie zaszokowało. Gdy wróciłem do domu, zastałem tam mego teścia Marcina Kosieradzkiego. Dziadek podszedł do mnie i składał mi gratulacje, że dostałem tę pracę. Powiedziałem, że nie będę pracował na kolei, bo nie spodziewałem się, że będę pilnował wagonów. Na co dziadek z uśmiechem: „Uspokój się, usiądź, porozmawiamy. Widzisz, ja jestem budowniczym kościołów. Zaczynałem pracę od podaj cegłę, podaj wapno - jako zwykły robotnik. I teraz dzięki swoim zdolnościom jestem dyplomowanym mistrzem budowy kościołów. Zatem radzę tobie, abyś pozostał na kolei. Masz wykształcenie, to dosłużysz się wyższego stanowiska.” Słowa te potwierdziła też moja żona Jadwiga: „Tata ma rację”. I tak zostałem kolejjarzem. Od nowego roku 1931 zostałem zatrudniony też na Szczęśliwicach w biurze wagonowym. Kończyłem codziennie pracę o godzinie 14-tej, potem na kursy Dyżurnego Ruchu. Przedtem jednak w terminie dwóch tygodni należało złożyć egzamin z pracy na aparacie alfabetu Morse’a. Kurs ukończyłem w końcu maja z tytułem Asystenta. W dalszym ciągu pracowałem w biurze wagonowym na Szczęśliwicach. W październiku 1932 roku dostałem dekret przeniesienia na stanowisko dyżurnego ruchu w Garwolinie. Zawiadowcą stacji był Jan Wilamowski. Taki był zbieg okoliczności, że kiedy ja byłem dyżurnym ruchu w Małkini, tenże pan Wilamowski był moim telegrafistą. Za lekceważenie korespondencji [MOB] został zdjęty ze stanowiska i zdegradowany do stopnia telegrafisty. Ponieważ w Garwolinie nie było mieszkania, przenieśliśmy się z Warszawy do

mego teścia Kosieradzkiego i zamieszkałem na Nowej Wsi. Kupiłem sobie rower, którym dojeżdżałem do stacji Kołbiel, a potem pociągiem do Garwolina. W maju 1934 roku otrzymałem dekret na stanowisko dyżurnego ruchu stacji Zabieżki. Tam pracowałem jako dyżurny ruchu, telegrafista i kasjer biletowy na trzy zmiany. Zawiadowcą stacji był Edward Leśniewski oraz kolega Józef. Mieszkanie miałem w budynku stacyjnym na parterze dwa pokoje z kuchnią. W roku 1935 otrzymałem stanowisko etatowe w 11-tej grupie uposażenia. W roku 1937 ukończyłem kurs na stanowisko adiunkta i dekret awansu do 10-tej grupy uposażenia. W październiku 1937 roku zostałem przeniesiony na stację Małkinia jako rezerwowego dyżurnego ruchu za chorych i urlopowanych kolegów. Po wyurlopowaniu siebie i trzech kolegów potem osiem miesięcy jeździłem w delegację zastępując urlopowanych i chorych dyżurnych ruchu. Nokoło Warszawy nie ma stacji, na której bym nie pracował. W czerwcu 1939 roku otrzymałem awans do 9-tej grupy uposażenia. Jest to już na kolei stopień oficerski porucznika, upoważniający do jazdy I klasą. Jazda w delegację od chwili wyjazdu z Małkini do powrotu po odbytej pracy, jeżeli przekroczyła łącznie 18 godzin, płatna była 7 zł. Tak że w sumie: pensja, dodatek funkcyjny i za dyżury nocne plus delegacja wynosiło miesięcznie 500 zł. Prosty rachunek to było 500 kg cukru. Tyle też zarabiałem na taksówkach. Tylko PKP to służba państwowa, emerytura, świadczenia, węgiel, przejazdy darmowe. Niejednokrotnie potem dziękowałem kochanemu teściowi Kosieradzkiemu za dobrą radę. I tak dobrze i spokojnie by się żyło, gdyby nie wybuch wojny.



ZANIM TRAFIŁEM DO CELESTYNOWA

Wybuch wojny 1 września 1939 r. zastał mnie na stacji Małkinia, gdzie też pełniłem ostatni dyżur jako dyżurny ruchu z 6 na 7 września 1939 r. Pierwsze bombardowanie Małkini miało miejsce 5 września. Nadleciała eskadra samolotów i zaczęła bombardować mosty, stację, wiadukty, mimo obrony przeciwlotniczej. My, kolejarze wolni od służby, skryliśmy się w wykopanych schronach - było nas około 50. Byli też pomiędzy nami żołnierze z bronią. W pierwszej chwili z grupy samolotów dwa skierowały się w naszą stronę i zrzuciły 5 bomb, z których dwie upadły z jednej strony, a trzy z drugiej. Od wybuchu zarwała się ziemia, przysypało kobietę i dwoje dzieci, ale na szczęście nikt nie został ranny. Wszyscy śpiewaliśmy „Pod Twoją obronę”. Tego dnia została spalona prawie połowa Małkini od pociągów zapalających. 6 września o godz. 8.00 objąłem służbę dyżurnego ruchu. Ponieważ Małkinia leży od granicy Prus Wschodnich tylko 100 km, samoloty niemieckie lecąc nad Polskę pierwsze bomby zrzucały nad Małkinią, a wracając - pozostałe. Mimo uciążliwego bombardowania pociągi kursowały jeszcze normalnie, tylko wskutek zbombardowania jednego mostu na Bugu została zerwana łączność telefoniczna ze stacją Sadowne. Oprócz pociągów osobowych były też transporty z wojskiem, które po wylądowaniu udawały się na wyznaczone pozycje. Około godz. 11.00, podczas wylądunku transportu wojska, nadleciały samoloty

i poczęły bombardować stację i pociąg. Ja oraz major komendant transportu biegliśmy do schronu, ale podczas naszej ucieczki padły bomby - od tego podmuchu upadliśmy, a major został ranny w nogę. W pociągu było zabitych kilka koni, jedna z bomb trafiła w gabinet zawiadowcy. Po południu było trochę spokoju. Robotnik stacyjny Gierzadowicz pozamiatał stłuczone szyby, ja odpocząłem trochę nerwowo. Tenże robotnik przyniósł mi ok. 5 kg słoniny i parę butelek oranżady, a gdy go zapytałem, gdzie takie skarby zdobył, odrzekł: „Panie naczelniku, ja poszedłem w to spalone miasto, tam, gdzie był sklep pana Kowalskiego. Stoi tam żelazna beczka ze słoniną, a w niej bomba, tak ja słoninę nożem odkroił, a bomba sobie siedzi”. Około godz. 17.00 znów nadleciały samoloty. Ja schowałem się pod żelazną blokadę, ale potem począłem uciekać w stronę spalonego miasta. Przez zapomnienie nie zdjąłem z głowy czerwonej czapki, a pilot zauważył mnie i począł z karabinu maszynowego do mnie strzelać. Już chciałem skryć się pod mostem nad strumykiem, ale jakaś intuicja pędziła mnie dalej w spalone miasto. Naraz za moimi plecami padły dwie bomby. Od tego podmuchu wywróciłem się i dostałem w plecy wyrwanym z bruku kamieniem oraz odłamkiem - zostałem ranny w lewe ramię, ale kość nie została naruszona. Po tym nalocie do wieczora był spokój. W poczekalni było pełno ludzi przesiadających się w różnych kierunkach. O godz. 20.00 miał mnie zmienić kolega Kuźnicki - niestety, nie przyszedł, a ja z dyżuru zejść nie mogłem, bo kolej to wojsko. Byłbym dezserterem. Zawiadowca Fiuk wcale się nie pokazał, a więc ciągnę dalej drugi dyżur, a na telegrafie

pracowała pani Kama Marciniak oraz robotnik i czterech nastawniczych. Około 21.00 przeszły po raz ostatni cztery skomunikowane pociągi z Warszawy, Białegostoku, Siedlec i Ostrołęki. W poczekalni pełno ludzi. Około 1.00 ogromny huk, jakaś bomba - to nie samoloty. Pytam nastawniczych - co się stało? Nastawniczy pierwszej nastawni Ferenc odpowiedział, że wybuch zauważył od strony mostu Siedleckiego. Polecilem mu, aby pojechał rowerem zobaczyć, co mu się stało. Po pewnym czasie Ferenc melduje, że przęsło od strony Małkini całkiem leży w wodzie - robota dywersantów. Na skutek zerwania mostu straciłem łączność telefoniczną i telegraficzną w obu kierunkach do stacji Kosów Lacki i Ostrów Mazowiecki. W poczekalni powstała panika, płacz i ucieczka. Uspokoilem pasażerów wiadomością, że został zbombardowany most na Bugu w odległości 1,5 km od stacji. Do rana spokój. Kursują jeszcze pociągi Warszawa-Białystok po jednym moście, a z Ostrołęki do Siedlec - brak mostu. Po 24 godzinach ciężkiego dyżuru czekałem na zmianę o godz. 8.00. Niestety, dyżurny ruchu pan Tabor również nie przyszedł, a ja, już bardzo wyczerpany fizycznie i psychicznie, głodny, bardzo chciałem pójść do domu. Dowiedziałem się, że moja żona z dwoma synami uciekła na wieś Rostki. I bardzo dobrze. Tam bezpiecznie. Znow zaczynają się naloty. Kursują pociągi, ale już tylko wojskowe transporty. Wyładunek i do lasu. Tylko ja - biedny dyżurny ruchu, bezbronny – odejść nie mogę i nie mam się już gdzie schronić. Od strony Warszawy już nie kursowały pociągi, a brak łączności telefonicznej utrudniał dyżur. Ostatni pociąg-transport przyszedł z Białegostoku o

godz.18.00. Komendant transportu w stopniu kapitana w rozmowie ze mną powiedział, że to już ostatni transport wojskowy od strony Białegostoku, ja zaś przedstawiłem mu swoją sytuację: poinformowałem, że ruch pociągów i łączność jest tylko od strony Białegostoku i że pracuję bez przerwy 36 godzin, wobec czego on osobiście zwolnił mnie ze służby i napisał w dzienniku pociągowym: „Zwalniam p. Władysława Świącha, ponieważ dalszych pociągów nie będzie”. Poczekalem jeszcze do całkowitego rozładowania transportu na rampie, a potem pożegnawszy się z kapitanem, kiedy wojsko udało się na swoje pozycje, nareszcie udałem się do domu. Tam z dwoma synami odnalazłem ją na wsi Rostki, gdzie schronili się prawie wszyscy kolejarze naszego bloku kolejowego w Małkini. Ona opatrzyła mi ranę oraz zreperowała mi rozerwany na lewym ramieniu mundur, a ja po solidnym posiłku poszedłem wreszcie spać. Na drugi dzień, 8 września, w godzinach popołudniowych razem z kolejarzem Paczyńskim udaliśmy się do Małkini, aby zobaczyć, co się dzieje w domu i na stacji. W domu - w porządku. Natomiast z kurnika zginęło 16 kur. Gdy zbliżaliśmy się do stacji, usłyszeliśmy strzały - to prawdopodobnie dywersanci już zawładnęli terenem. Moje biurko zastało rozbite, otworzone jakimś łomem, a dziennika wcale nie znalazłem. W powrotnej drodze, gdy przechodziliśmy obok koszar wojskowych, gdzie stacjonowały tabory, na szosie spotkałem grupę poborowych, jeszcze nie umundurowanych oraz znajomego mi kapitana. Po przywitaniu się z nim poprosiłem go na stronę i powiedziałem, że wracam ze stacji i że tam już nic się nie dzieje i chyba do nas

strzalano. Na to kapitan cicho powiedział: „Panie Święch, gdybym pana nie znał, to bym pierwszy panu w łeb strzelił, nie wolno panu takich rzeczy mówić i robić panikę. My w Prusach Wschodnich, na Pomorzu oraz pod Warszawą jeszcze się mocno trzymamy”. Na drugi dzień, 9 września, po śniadaniu, gdy na podwórku w grupie kolejarzy rozmawialiśmy, zauważyliśmy jadącego rowerem zawiadowcę stacji Ostrów Mazowiecki. Gdy nas zauważył, podszedł do nas i powiedział, że ucieka, bo w Ostrowie już Niemcy. Teraz nastąpiła konsternacja, co robić? Pięciu z nas kolejarzy zdecydowało się też uciekać. Pożegnałem żonę i płaczące dzieci, zostawiłem im całą pensję, a sam, mając 20 zł w kieszeni, udałem się w “rajzę”. Słyszeliśmy, że nasza dyrekcja kolejowa wyjeżdża do Siedlec. Gdy tam po paru dniach dochodziliśmy, trwały wielkie boje. Idziemy nad Brześć nad Bugiem, tam taka sama sytuacja. Szło się tylko nocami, bo we dnie naloty lotnicze. Z mojej grupy trzech kolegów wróciło do Małkini. Ja z kolegą zdecydowaliśmy się uciekać do Rumunii, ale pod Zamościem spotkaliśmy wracających, którzy powiedzieli nam, że tam sytuacja jest wprost tragiczna. Ogromny ścisk i nic kupić do jedzenia nie można. Wobec takiej sytuacji postanowiliśmy wracać. Jest już 17 września. Przez te 8 dni od chwili wyjazdu z Małkini szło się tylko pieszo, bo pociągi nie kursowały. Tylko dwa dni udało mi się jechać, ponieważ przypadkowo spotkałem kolegę szkolnego, który w stopniu podoficera jechał taborem, ale potem zgubiliśmy się i dalej pieszo. Od kolegów pożyczyłem 20 zł. W powrotnej drodze zatrzymaliśmy się na plebanii u księdza w Leopoldowie, który zaproponował nam

posiłek i spanie za pomoc przy kopaniu ziemniaków. I tak grupą siedmiu kolejarzy kopaliśmy te kartofle, spaliliśmy na sianie w stodole, a wieczorami słuchaliśmy radia, czekając co będzie dalej. 27 września przez radio podano tragiczną wiadomość: Warszawa padła. Łzy się zakręciły w oczach. Wszystko przepadło. Trzeba wracać do domu. Pięciu kolegów - do Warszawy, a my dwaj - do Małkini. Do domu przyszedłem mając na piętach obu nóg pęcherze - 1 października. Radość ogromna, że wszyscy żyjemy, a zarazem refleksja, że ta ucieczka wcale nie była potrzebna. Wobec ogłoszenia, że Niemcy przyjmują do pracy kolejarzy, 15 października zgłaszam się do pracy w Ostbahn. Zostałem zatrudniony jako starszy nastawniczy. Na czterech nastawniach było nas po trzech pracowników, w tym jeden Niemiec. Byłem zatrudniony na pierwszej nastawni od strony Warszawy. Pewnego razu pociąg wojskowy z Warszawy jadący do Olsztyna został mylnie skierowany na tor 9. Całe, szczęście, że tor ten był wolny. Widzę z nastawni, że latarnia zwrotnicy wskazuje właściwe położenie - strzałka w prawo. Pobiegłem na miejsce i stwierdziłem, że pękł bolec, który obraca głowicę zwrotnicy, na skutek czego zaszła pomyłka. Z daleka widać było, że położenie zwrotnicy jest w prawo, a faktycznie było na wprost. Od strony stacji biegnie do mnie naczelnik stacji oraz dwóch oficerów niemieckich z pistoletami krzycząc: „Das ist grosse Sabotag!”. Całą sytuację uratowała moja znajomość języka niemieckiego, bo natychmiast pokazałem swojemu szefowi obracając w koło głowicy, że na tym właśnie polegał błąd, a szef jako kolejarz uspokoił oficerów, że tu nie było winy kolejarzy i nic się nie stało.

Pociąg został cofnięty i skierowany do Olsztyna. Naczelnik stacji spytał mnie potem skąd znam język niemiecki. Odpowiedziałem, że uczyłem się dwa lata w szkole podstawowej w Kołbieli oraz trzy lata w gimnazjum w Otwocku. Wobec powyższego powiedział, że od jutra zostaję zatrudniony jako "dolmetscher" - tłumacz przy dyżurnym ruchu na stacji Małkinia. W końcu listopada 1939 roku, gdy po nocnej służbie wracałem do domu podszedł do mnie elegancko ubrany pan - buty oficerskie, ubrany w skórę, na głowie beret, lat około 40 i zapytał czy może ze mną swobodnie rozmawiać. Przedstawił się jako Edward Konieczny. Gdy już zbliżyliśmy się do mojego domu dał mi ulotkę wydawaną przez Polskę Podziemną. Zaprosiłem go do domu. Przedstawiłem żonie. Gdy się rozebrał okazało się, że ma na sobie mundur oficera polskiego - dystynkcje porucznika zdjęte. Zapropo- nował nam, abyśmy oddali mu do dyspozycji pokój, gdyż on tu w pobliżu granicy będzie prowadził akcję podziemną. Oboje z żoną oczywiście chętnie zgodziliśmy się. Kilka razy w miesiącu przychodzili młodzi mężczyźni. Miał z nimi od- prawę, a potem ich wysyłał na radziecką stronę. Potem wracali. Dla kogo oni pracują? Z takim pytaniem zwrócili się do mnie. Ja też nie mogłem im dać konkretnej odpowiedzi, bo go mało znałem. W czasie odprawy prawdopodobnie w tej sprawie padło pytanie, bo w moim pokoju słychać było jakieś podniesione głosy, a gdy już wszyscy poszli, pan Ko- nieczny zaraz sam do siebie głośno powiedział: „Gdyby nie honor, to powinienem sam sobie w łeb pałać”. Pewnego razu, gdy przyszedł i w przedpokoju zdjął płaszcz, zauwa- żyłem, że wyjął pistolet z bocznej kieszeni munduru i

schował go do płaszcza. Zapytałem go: „Panie poruczniku, jak pan nie boi się chodzić z bronią, przecież 300 m od nas w budynku poczty jest Gestapo?”. Na co on spokojnie odpowiedział, że on doskonale zna język niemiecki i jest pewny siebie. Nie raz już z nimi rozmawiał. Swoją butą jednak mnie nie przekonał. W końcu marca 1940 roku, gdy byłem w domu, spojrzałem w okno i ujrzałem trzech gestapowców z psem oraz pomiędzy nimi pana Koniecznego, idących do mego mieszkania. Przeraziłem się, że on jest aresztowany, a teraz idą po mnie. A tymczasem oni spokojnie poszli do jego pokoju i słychać było toasty, głośną rozmowę i śmiech. Po dość długiej libacji, gdy Niemcy poszli, pan Konieczny w dobrym humorze sam do mnie przyszedł, by mnie przekonać, że nie ma się czego bać, bo wszystko jest w porządku. Dla niego tak, ale dla mnie to zdrajca. Najgorsze było, że sąsiedzi kolejarze zaczęli o mnie źle mówić. Pan Święch taki mocny patriota, 36 godzin służbę pełnił bez zmiany, a teraz z Niemcami się zadaje. Postanowiłem uciekać z Małkini. Pojechałem w swoje rodzinne strony do Celestynowa.

O moim Tacie - Władysławie

Władysław Święch, ur. 18.06.1904 r. w Gadce k. Kołbieli, zm. 10.02.1997 r. w Warszawie. Rodzice: ojciec - Bartłomiej Święch, matka - Franciszka z Matosków. Mój tata ukończył szkołę podstawową 4-klasową w Kołbieli, po czym w 1919 r. zdał egzamin do ośmioklasowego gimnazjum koedukacyjnego w Otwocku. Po 3 latach, w 1922 r. wstąpił do szkoły technicznej w Siedlcach. Był jedynym dzieckiem licznej chłopskiej rodziny, które rodzice postanowili wykształcić. Po ukończeniu technikum, w lipcu 1925 r. został powołany do wojska i przydzielony do 9 Dywizjonu Samochodowego w Brześciu n/Bugiem. Tam ukończył z pierwszą lokatą wyższy kurs kierowców. 1 września 1927 r. został zwolniony do rezerwy. Pracę rozpoczął najpierw jako kierowca prywatnego przedsiębiorstwa taksówkowego w Warszawie. W tym okresie, 17 listopada 1929 roku, w Kołbieli ożenił się z moją mamą - Jadwigą Kosie radzką z Nowej Wsi k/Kołbieli (rodzice: Marcin Kosie radzki i Józefa Bałka). W październiku 1930 roku zakończył pracę taksówkarza i został zatrudniony w PKP, w Warszawie. Początkowo na 5-tym posterunku zlecono mu pilnowanie wagonów przed kradzieżą, po miesiącu przeniesiono go na stację postojową Szczęśliwice, na stanowisko spina cza wagonów, a od 1931 r. został zatrudniony też na Szczę śliwicach w biurze wagonowym. Tam w ciągu 2 tygodni opanował i złożył egzamin z pracy na aparacie alfabetu Morsa, po czym rozpoczął kursy Dyżurnego Ruchu.

Kursy ukończył w końcu maja 1931 r. z tytułem Asystenta. Wcześniej, 6 marca w Warszawie, przyszło na świat ich pierwsze dziecko - syn, mój najstarszy brat Wiesław. W październiku 1932 roku tata został przeniesiony na stanowisko dyżurnego ruchu w Garwolinie. Wówczas przeniósł się z rodziną do rodziców żony – do Nowej Wsi. Do pracy dojeżdżał - rowerem do Celestynowa, a potem pociągiem do Garwolina. W 1933 r. w Nowej Wsi urodził się drugi syn, mój brat - Kazimierz. W 1934 r. został przeniesiony do Zabieżek na stanowisko dyżurnego ruchu. Tam otrzymał mieszkanie w budynku stacyjnym i zamieszkał w nim z rodziną. 1937 r. ukończył kurs na stanowisko adiuńka. W październiku 1937 roku został przeniesiony na stację Małkinia, gdzie zamieszkał z żoną i dziećmi. W czerwcu 1939 roku otrzymał awans do 9-tej grupy uposażenia. Na kolei to stopień oficerski porucznika, upoważniający do jazdy I klasą. Wybuch wojny 1 września 1939 r. zastał go na stacji Małkinia. Po różnych przejściach wojennych na tej stacji, opisanych w swoich wspomnieniach, udało mu się zatrudnić u niemieckiego zawiadowcy stacji Celestynów na stanowisku kasjera biletowego. Otrzymał też mieszkanie na piętrze, w budynku stacyjnym. 17 września 1940 roku, jeszcze w tym mieszkaniu na stacji, urodziłam się ja, czyli córka Teresa, a dwa lata później, 22 września 1942 roku, już w nowym mieszkaniu w domku z ogródkiem, obok stacji, urodziła się druga córka - moja siostrzyczka - Maria. Wiosną 1942 roku Niemcy przekazali swoje czynności Polakom i pojechali na wschód. Zawiadowcą został Edmund Brzeziński, a mój ojciec dyżurnym ruchu. Pracowali tam również

dwaj inni- Aleksy Naumczyk i Czesław Cholewiński. Teraz dla Polских kolejarzy nastaly troche lepsze czasy. Po zakonczeniu wojny celestynowskie AK, do ktorego tata nalezal, ujawnilo sie. Czlonkowie AK musieli sie ukrywac przed nowa wladza w Polsce. Ojciec uciekl z Celestynowa i ukrywal sie przez jakis czas na wsi u swojego brata Franka. Potem znalazl prace na stacji Warszawa Wileńska, jako zastepca naczelnika stacji. 19 lipca 1945 r. tata wraz z innymi wyjechal na Ziemie Odzyskane do Slupska, gdzie sprowadzil rodzine i gdzie na stanowisku dyspozytora ruchu doczekal emerytury w 1964 r. W Slupsku my, tzn. czwórka dzieci mojego taty, konczyła szkoły - dziewczynki podstawowa i liceum, a chłopcy chodzili do liceum. Tam sie wszyscy ozenili i oprócz mnie - zamieszkali. Tam tez dzieci mojego rodzenstwa zdobywaly szlify przedszkolne, wyksztalzenie podstawowe i srednie. Najstarszy syn Wieslaw skonczył studia pedagogiczne i po jakimś czasie zaczął pracowac jako nauczyciel biologii w Liceum Pedagogicznym w Slupsku, ktore ja ukończyłam. Był bardzo cenionym pedagogiem, wspomnianym przez uczniow z lezka w oku do dzis. Ja dzięki niemu bez trudu zdałam egzaminy na Wydz. Biologii i Nauk o Ziemi w Toruniu. Wieslaw bardzo szybko sie ozenil. Mial dwójke dzieci - Jacka (ginekolog) i Mariolę (stomatolog). Drugi syn - mój brat Kazik nie ukończył matury (mial bardzo szeroką wiedze i bardzo krytyczne spojrzenie na poziom wiedzy nauczycieli). Zostal zatrudniony w Zakładzie Energetycznym w Slupsku. Do konca zycia byl szefem odpowiedzialnym za sprawnosc sieci elektrycznej w Slupsku i okolicach. Jak wspomina jego

syn Marek, który pracuje w tym samym przedsiębiorstwie i odwiedza w terenie ludzi - wszędzie wspominają ojca jako wspaniałego fachowca i bardzo porządnego człowieka. Kazik miał dwojkę dzieci: wspomnianego tu Marka i starszą siostrę - Małgorzatę (z zawodu pielęgniarkę). Tam, w Słupsku, również zamieszkała po ukończeniu Liceum Farmaceutycznego w Warszawie moja siostra Marysia. Pracowała jako farmaceutka w aptekach słupskich. Miała dwoje dzieci - Magdalenę (złotnik) i Grzegorza (po studiach w Poznaniu obecnie prowadzi agencję konsultingową SZJ wg ISO). Mój tata 8 czerwca 1992 r. wyprowadził się ze Słupska i zamieszkał w Domu Wysłuzonego Kolejarza w Milanówku. Często w ramach, jak to mówił - „urlopu” przyjeżdżał do nas do Warszawy, gdzie miał swój pokój i chętnie mimo ciasnoty (troje naszych dzieci i my - w trzypokojowym - 56 m² mieszkaniu) przebywał. W Milanówku dość często go odwiedzaliśmy. Tata zmarł w szpitalu kolejowym na ul. Brzeskiej 10 lutego 1997 r. Obecnie z mojej najbliższej rodziny zostałam tylko ja. Najpierw zmarła mama - 5 czerwca w 1973 r, potem brat Kazik - 28 listopada 1985 r., następnie tata - 10 lutego 1997 r., po nim w tym samym roku - 30 maja - moja siostra Marysia, a najstarszy brat - Wiesław 10 stycznia 2005 r. Wszyscy pochowani są na starym słupskim cmentarzu. Tam również - pół roku temu - 20 grudnia 2019 roku pożegnaliśmy moją córkę chrzestną - Małgosię - córkę Kazika (zmarła 16 grudnia). Jeśli chodzi o mnie Liceum Pedagogiczne ukończyłam w 1958 roku i zostałam zatrudniona jako nauczycielka najpierw w Kobylnicy Słupskiej (pierwsze 2 lata pracy), potem przez rok w tzw.

„Ćwiczeniówce” - Szkole Podstawowej przy Liceum Pedagogicznym. W międzyczasie ukończyłam trzyletnie Studium Pomaturalne o profilu biologicznymi i tuż po nich w 1982 r. rozpoczęłam studia na UMK w Toruniu. Po trzech latach przenieśliśmy się z UMK na specjalizację do Warszawy, na Wydział Biologii UW. W międzyczasie wyszłam za mąż. Ślub odbył w parafii Św. Rodziny u moich rodziców 12 lutego (w przerwie międzysemestralnej) w 1966 r., w Słupsku. Zamieszkaliśmy z mężem we własnym, małym mieszkanku, w Al. Jerozolimskich w Warszawie. W 2 miesiące po obronie pracy magisterskiej (we wrześniu 1967 r.) urodziła nam się córka Agnieszka. Mój promotor zaproponował mi pracę w swoim Zakładzie - Anatomii i Cytologii Roślin. Po rocznej opiece nad córeczką rozpoczęłam u niego pracę jako asystentka. W tymże Zakładzie, który w międzyczasie przechodził różne metamorfozy, pracowałam do przejścia na emeryturę. W 1976 roku obroniłam tam pracę doktorską o tematyce z zakresu embriologii roślin. Zostałam adiunktem, a po latach - st. wykładowcą. Pracowałam ucząc studentów anatomii, embriologii i cytologii roślin, przez wiele lat z mikroskopem elektronowym. Nie zmieniając pracy, na emeryturę przeszłam w 2006 r. Oprócz córeczki Agnieszki (skończyła Arabistykę na UW) - mamy z mężem (inżynier, fizyk, też nauczyciel akademicki na Politechnice Warszawskiej) jeszcze dwoje dzieci - syna Piotra (ur. w 1970 r., poszedł w moje ślady, jest entomologiem na tymże samym Wydziale Biologii) i najmłodszą córkę - Kasię (ur. w 1973 r.). Kasia studiowała na SGGW. Tam, podobnie jak Piotr, się wydoktoryzowała. Nasze małe mieszkanko

w 1970 r. zamieniliśmy na większe (56 m²) i tu, na Bielanach na IX piętrze z widokiem na zielen i na szczątki warszawskiej huty mieszkamy do dziś. Dzieci założyły własne rodziny i nie mieszkają już z nami. Mamy troje wnucząt: u Agnieszki Grzesia (obecnie maturzysty) i Asię (kończy szkołę podstawową), oraz 7 letniego przedszkolaka Józia, synka Kasi.

Teresa Tykarska, 13 maja 2020 r.



Moi rodzice; Jadwiga i Władysław, bracia:
Kazimierz (młodszy) i Wiesław (starszy)



Moi rodzice, brat Wiesław i ja - Teresa



Oparty o wóz - Mój Tata -Władysław Święch, Moi bracia:
Kazik i Wiesiek oraz gospodarz, który coś pewnie
przywiózł ze wsi - któryś z moich wujków



Przed budynkiem stacyjnym na ławce od lewej,
według opisu mojego kuzyna: p. Zawada z dziećmi,
prawdopodobnie p. Pokrywka, moja mama Jadwiga na
pewno p. Macios z najmłodszą córką Stasią i prawdo-
podobnie p. Bąk. Macios Jan - robotnik, Zawada Józef
- zwrotniczy, Święch Władysław - dyżurny ruchu
(z córką Marią), Naumczyk Aleksy - dyżurny ruchu,
Bąk Stanisław - robotnik stacyjny.